ŁOWIEC POLSKI



ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (965) KWIECIEŃ 1949 R. CENA 60 ZŁ

KOMUNIKAT KOMITETU WYKONAWCZEGO
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Na skutek decyzji Głównego Komitetu »Dnia Lasu« wprowadzono do akcji odbudowy polskiego lasu od roku bieżącego sprawę ochrony przyrody i **łowiectwa.**

Z związku z tą doniosłą decyzją Polski Związek Łowiecki przystąpił do pracy organizacyjnej »Dnia Lasu« w terenie, zobowiązując Oddziały Wojewódzkie i Powiatowe, Koła Łowieckie i wszystkich członków do wzięcia czynnego i bezpośredniego udziału w tej poważnej i ważnej akcji społecznej.

Numer 5 (maj) 1949 r. »ŁOWCA POLSKIEGO« poświęcony będzie specjalnie

»D N I U L A S U«

i udziału w tej akcji polskiego łowiectwa i polskiego myśliwego.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (965) 1949 KWIECIEŃ

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

NASZE PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE

W obchodach jubileuszowych tkwi zazwyczaj nieuchwytny, jakby pożegnalny smętek.

Uwieńczają one bowiem, lecz często i zamykają okres lotnej twórczości, zapowiadają zmierzch wartościowych osiągnięć. Są tym, czym jest u schyłku pięknego dnia letniego zachód słońca, przypominający, że zbliża się pora spoczynku...

Ta melancholia dotyczy wszakże raczej jednostki niż instytucji, posiadającej rzetelną dynamikę wnętrzną.

Człowiek spełnił swoje zadanie i musi odejść — jak ów murzyn z „Don Karlosa" Szillera. To, co dokonał, jeśli istotnie wartościowe, rozwijać się będzie dalej i nowym pokoleniom służyć.

Do tej kategorii należy Łowiec Polski, naczelny organ naszego myślistwa. Święci półwiecze swego istnienia, lata dla każdego czasopisma poważne, w naszym czasopiśmiennictwie nie częste. I nie tylko, że nie grzeszy dość zwykłymi w późniejszym wieku objawami znużenia i wyczerpania, lecz przeciwnie—lubo teraz jeszcze tylko raz na miesiąc się jawi — promieniuje ochoczym a dojrzałym rozmachem, poucza, służy wypróbowaną kompetencją, stanowi dla każdego myśliwego lekturę zajmującą i pożyteczną.

Po J. Sztolcmanie, J. Ejsmondzie i W. Garczyńskim ster Łowca Polskiego objął Józef Gieysztor. Swą żywotnością, energią i pracowitością stanowi piękny przykład, jak cudownym eliksirem młodości jest myślistwo. Gdyby Faust miast ślęczyć dnie i noce nad księgami, od czasu do czasu rzeźwił umysł i ciało jędrnym powietrzem kniei, pól i jezior, nie byłby potrzebował udawać się w zawstydzające konszachty z diabłem.

Gieysztor, rzeźki i doświadczony myśliwy — matuzal, potrafił skupić w odrodzonej redakcji Łowca Polskiego sztab najlepszych, fachowych współpracowników wysokiej rangi, którzy z równą biegłością władają piórem jak strzelbą, a niektórzy chlubią się zgoła nieprzeciętnym talentem pisarskim.

Łowiec Polski umiał zespolić się z wartkim nurtem zmienionych warunków bytu, rozumiejąc, że „z żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgać nowe"...

Nowe życie, wyrażające się w dogłębszem przeobrażeniu ustroju, spowodowało zdemokratyzowanie się łowiectwa, a to z kolei sprawiło, że liczba zorganizowanych w Polskim Związku Łowieckim myśliwych powiększyła się wielokrotnie.

Polak zawsze dozna gorącego dopływu krwi czerwonej do żył i radosnego wzruszenia, gdy ze strzelbą na ramieniu znajdzie się w polu, w lesie czy na sennych wodach jezior. Przy biurku urzędniczym, za ladą spółdzielni, w hali fabrycznej — cóż dopiero w izbie wieśniaczej! — zawsze tęsknić będzie za zabawą myśliwską, samopas czy w nierasobliwym gronie towarzyszów.

Dziedziczne instynkty krwiożercze po praprzodkach troglodytach? Banialuki!

Każdego, kto z apetytem spożywa befsztyk wołowy, kotlet barani lub indyka z borówkami, należałoby również o ów szpetny spadek pomawiać.

W zamiłowaniu myśliwskim tkwi nade wszystko chęć — świadoma lub podświadoma — zbliżenia się do życia i piękna przyrody, pragnienie oderwania się od codziennego kieratu, tęsknota za przygodą, ambicja wykazania swej przytomności umysłu, odwagi i zręczności.

W krajach rolniczych myślistwo staje się pasją wprost powszechną.

Łowiec Polski od pół wieku godnie reprezentuje myślistwo polskie. Jest duchowym tego myślistwa łącznikiem. W ogólnoświatowej prasie łowieckiej zajmuje miejsce równie zaszczytne jak to, które przypada naszej twórczości literackiej i artystycznej, czerpiącej natchnienie z przeżyć i wrażeń myśliwskich.

Największy poeta polski, Adam Mickiewicz, w najszczytniejszym swym arcydziele — w „Panu Tadeuszu" — odtworzył rapsod łowiecki, jakiego nie posiada żadne inne piśmiennictwo nadobne. Najznakomitsi prozaicy — Sienkiewicz, Weyssenhoff, Dygasiński, tylu innych — czerpało wątek z tego samego źródła.

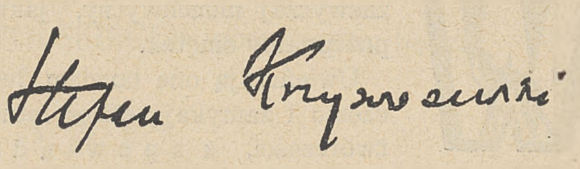
Podczas wojny i barbarzyńskiej okupacji niemieckiej Łowiec Polski, jak wszystkie inne nasze czasopisma, musiał zawiesić swą działalność. Zbudził się z letargu, gdy pangermański szaleniec, okrutniejszy od Dżengis Chana i Atylli, legł niezaszczytną, samobójczą śmiercią w swej podziemnej norze berlińskiej.

I pełni Łowiec Polski swą służbę dalej. Analizuje ważniejsze aktualne zagadnienia myśliwskie już to z dziedziny hodowli zwierzyny, techniki polowań, broni, już — z dziedziny etyki łowieckiej i ustalonych obyczajów myśliwskich. Odźwierciadla życie łowieckie na wszystkich połaciach Rzeczypospolitej, gromadzi barwne opowiadania o dawniejszych i najnowszych przygodach.

Zawsze świadczy chlubnie o poziomie naszego łowiectwa i tego poziomu pilnie strzeże. Taki był jego program sprzed pół wieku i taki będzie nadal. Więc należą mu się nasze staropolskie życzenia:

— sto lat! sto lat!...

Lecz czy należy ograniczać miłosierdzie Boskie?





Winieta tytułowa z 1924 r. *Malował Julian Fałat*



ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Nr. 1. Warszawa, 20 marca 1 kwietnia 1899 r. Rok I.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie

Od Redakcyi.

Postęp, przejawiający się z biegiem czasu w każdej dziedzinie działalności ludzkiej, zmienił zasadniczo kierunek łowiectwa, którego jedynem zadaniem było niegdyś upolowanie zwierza. Dziś myślistwo oznacza przedewszystkiem dążenie do rozhodowania zwierzyny łownej, która winna być uważana niejako na równi z innem dobrem rolnika.

W ostatnim dziesiątku lat w naszym kraju bardzo wybitnie zaznaczyła się dążność do podniesienia zwierzostanu i niemało nawet na tem polu zrobiono. Są to jednak dotychczas rezultaty usiłowań nielicznych jednostek, ogół bowiem naszych myśliwych nie ma ani źródeł, z których czerpałby wiadomości w kierunku prawidłowej gospodarki łowieckiej, ani organu, około którego mógłby się skupić dla wymiany myśli i wzajemnego komunikowania sobie wyników osobistych doświadczeń i spostrzeżeń niejednokrotnie bardzo ważnych dla łowiectwa wogóle, a naszego myślistwa w szczególności. Dopóki wiadomości te będą przechodziły z ust do ust, nie wykraczając po za ciasną sferę zamkniętych kółek, dopóki nie będą one dostępne jaknajszerszemu ogółowi, dotąd sprawa łowiectwa krajowego będzie stała w miejscu, a nieświadomość tego ogółu paraliżować będzie dodatnią działalność ludzi ożywionych najlepszemi dla łowiectwa chęciami.

Rozpowszechnianie przeto pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiej, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzej własności



Na złotach

Karta tytułowa z 1899 r.

ZBIGNIEW KOWALSKI

PIĘĆDZIESIĄT LAT ŁOWCA POLSKIEGO 1899 — 1949

I. WSTĘP

Leży przede mną oprawny w tłoczoną skórę gruby tom. Jest to opracowana przez H. W. Doebelsa, a wydana w roku 1754 „Jaeger Practica", książka dedykowana Augustowi II Mocnemu, królowi Polski.

Kiedy przerzucam kurzące stuletnim pyłem kartki z czerpanego papieru, wczytując się w zapisane starym gotykiem stronice, ogarnia mnie zdumienie. A więc już dwieście lat temu znane były dobrze na świecie zagadnienia hodowli zwierzyny, zasady prawidłowego łowiectwa i racjonalnego polowania, a więc przed dwustu laty dokarmiano już jelenie, stawiano budki dla kuropatw, odstrzeliwano drapieżniki i szkodniki, walczono z kłusownictwem i wnykarstwem. Działo się tak przed dwoma wiekami, kiedy u nas żubr, łoś, niedźwiedź i wilk chadzały swoimi drogami, a myśliwy podążał za nimi też własną, nieskrępowaną żadnymi przepisami czy prawami ścieżką.

Te same sposoby puszczańskich, wolnych łowów trwały niezmiennie i dalej na naszych ziemiach, kiedy to w sto lat przeszło później, w ostatnim dziesiątku lat XIX wieku, grono myśliwych z Kongresówki złożyło do gubernatorstwa warszawskiego podanie o rejestrację pierwszego na ziemiach środkowej Polski ideowego towarzystwa łowieckiego.

O czasach tych pisał jeden z czołowych z końca zeszłego wieku działaczy łowieckich — Seweryn Krogulski — na łamach pierwszego na naszych ziemiach pisma myśliwskiego — Łowiec, wydawanego w Małopolsce, w sposób następujący:

„...przestrzenie łowieckie były istną „res nullius" bez opieki, bez ochrony, bez prawa. Istnieli wprawdzie właściciele obszarów łownych, lecz w przeważnej części niczym nie skrępowani, uważali łowiectwo za czczą rozrywkę lub za własną, bezwzględną korzyść i tępili zwierzynę bezmyślnie albo sami, albo też pozwalali ją tępić uprawnionym lub nieuprawnionym. Polowanie „na kuchnię", w najgorszym tego słowa znaczeniu, było w pełnym rozkwicie. W tych warunkach rozwijało się swobodnie kłusownictwo różnego rodzaju, a zwierzostan, nie tak dawno jeszcze bogaty, upadał coraz bardziej..."

Choć w zaborze austriackim istniało już od blisko 25 lat Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie (skrót GTŁ) i wydawało, jak wspomniałem wyżej, miesięcznik myśliwski — Łowiec, zorganizowanie pierwszego



1901 r. W górach *fot. z natury*

w zaborze rosyjskim regionalnego towarzystwa myśliwskiego oraz zapoczątkowanie wydawania pisma łowieckiego, szło garstce zapalonych warszawskich myśliwych jak po grudzie. Zdawało się szerokiemu ogółowi, że pismo takie jest w ogóle zbędne a myśliwi też nie czuli potrzeby posiadania własnej trybuny.

Starania o rejestrację pisma posuwały się naprzód żółwim krokiem.

A działo się tak z powodów dość oryginalnych, brzmiących dziś jak anegdota z nieprawdziwego zdarzenia.

Otóż podpisujący podanie o rejestrację, jako jeden z założycieli towarzystwa, Julian Biesiekierski, kładąc swój autograf, jak wszyscy jego współcześni z zamaszystym zakrętasem i dużą kropką nad ostatnią literą, tak niefortunnie w rozmachu tę kropkę postawił, że wypadła akurat na samym środku pokaźnych bokobrodów cara Aleksandra, spoglądającego z przylepionego na podaniu znaczka stemplowego.

Dość trudno było ułagodzić władze gubernialne, głęboko dotknięte tą wyimaginowaną obrazą majestatu. Ale czegóż w owych czasach nie można było przeprowadzić przy pomocy szeleszczących papierków o tęczowych barwach czy brząkających pięknie imperiałów.

Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa zostało po dwóch latach ceregieli i formalności, dzięki znanemu



1901 r. Stanowią..

prezesowi Teatrów Warszawskich, zażartemu polonofilowi, generałowi Iwanowowi, wybranemu przewodniczącym towarzystwa, wciągnięte do rejestru stowarzyszeń.

Z projektowanym pismem łowieckim sprawa ciągnęła się, niestety, dłużej, opierając się ostatecznie aż o Petersburg, gdzie dzięki pomocy szeregu osób z kolonii polskiej, a w szczególności dyrektora Drogi Żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej, Blumenthala, otrzymał Jan Sztolcman w końcu 1897 roku koncesję na wydawanie dwutygodnika pod nazwą „Łowiec Polski".

II. NAKŁAD — SZATA ZEWNĘTRZNA

Pierwszy numer Łowca Polskiego, opatrzony datą 1 kwietnia (dopisana rosyjska data 20 marca) ukazał się jednak dopiero w roku 1899. Biurokratyczna droga ze stolicy nad Newą do Warszawy trwała, jak widać z tego faktu, niepomiernie długo.

Naturalnie, pismo opatrzone było obowiązującym nadrukiem: „Dozwoleno cenzuroju, Warszawa, 19 marta 1899 g."

Redakcję pisma objął Jan Sztolcman, uczony przyrodnik, myśliwy i pisarz pierwszej jakości. Zebrania grona współpracujących z Łowcem Polskim myśliwych, które odpowiadało dzisiejszemu komitetowi redakcyjnemu, odbywały się początkowo przy ul. Smolnej nr 34, w prywatnym mieszkaniu redaktora Najbliższymi współpracownikami Jana Sztolcmana byli: Feliks Różyński (sprawa hodowli zwierzyny), August Sztolcman (psy myśliwskie), Władysław Słonczyński (broń i amunicja), Wiktor Stephan (ochrona i hodowla), Edward Orda (kroniki myśliwskie), artysta malarz Franciszek Ejsmond (strona artystyczna pisma), Józef Zarębski (sekretarz redakcji i administrator).

Na treść pierwszego numeru Łowca Polskiego, którego stronicę tytułową reprodukujemy na honorowym miejscu obecnego numeru, złożyły się następujące artykuły:

Karol Albus: Parę uwag o hodowli zwierzyny;
Jan Sztolcman: Polowanie na dziki w Różance;



1907 r. Na wystawie psów

S.: Nadużycia w handlu zwierzyną;
Jan Sztolcman: Z ubiegłego sezonu;
Władysław Słonczyński: O próbowaniu broni śrutowej. Przygotowania do próby. Tarcza;
J. S.: Dubeltówki jednocynglowe i bezcynglowe;
August Sztolcman: O pochodzeniu psa;
Romuald Więckowski: Warszawski Oddział Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa;



1903 r. Kuny leśne

Wł Sł.: Pierwsza warszawska wystawa łowiecka;
Wł. Sł.: Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa;
Wł. Sł.: Drobiazgi myśliwskie;
Wł. Sł.: Nowe kule;
Kap. A. M. Bykow: Strzelanie do gołębi;
Kap. A. M. Bykow: Przeloty ptaków;
Kalendarzyk Myśliwski;
Od administracji.

Łowca Polskiego drukowano początkowo w drukarni E. Skierskiego, później w Towarzystwie Wydawniczo - Artystycznym a następnie w Drukarni Polskiej L. Straszewicza.

Cena pisma wynosiła za pojedyńczy numer rocznie 6 rubli.

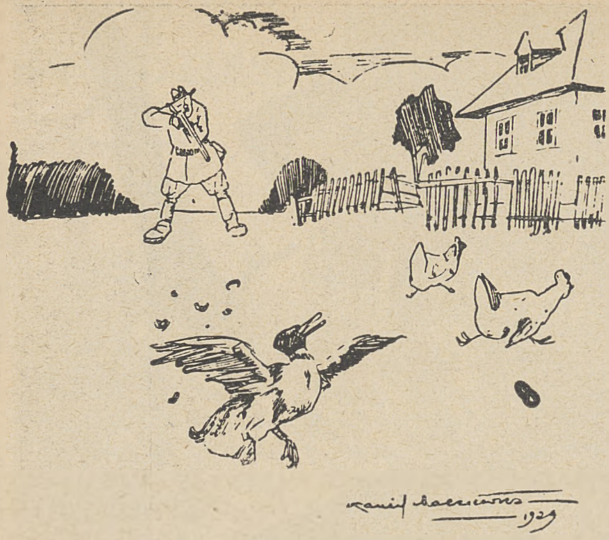
Od roku 1902 sekretariat redakcji prowadził Jerzy Oreński. W roku 1908 redakcja przeniosła się do lokalu Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa przy ul. Nowy Świat 35.

Metranpażem był A. Szabłowski, który obecnie składa Łowca Polskiego na linotypie.

Łowiec Polski do wybuchu pierwszej wojny światowej wychodził jako dwutygodnik. Ogółem ukazało się w latach 1899 — 1914 — 369 numerów pisma, ostatni — w dniu 1 VIII 1914 r., jako numer 15 (369).

Na treść jego składały się:

Artykuł wstępny. Antoni Łączkowski: Łoś; St. Zaborowski: Jak trubadur; R. Nowierski: Katowanie psów na polowaniu; St. Krzyżanowski: Sierpień; Oreński: Św. Hubert czy Św. Eustachy?; Oreński: Łowiectwo w encyklopediach polskich; Stefan Ostrowski: Jeszcze o wilkach w okolicach Myszkowa; Szczur piżmowy; W dżungli indyjskiej, z oryginału Oskara Kaufmanna spolszczył W. K...ski; O tresowaniu psów do stróżowania, do obrony i policyjnych; Działania broni



Z cyklu: „Pewne strzały" „Pilnuj pióro".

1929 r.

nowożytnej; Przeciw tępieniu ptaków; Pożary lasów; Wykazy myśliwskie; Drobiazgi myśliwskie.

Jak widać z treści tego ostatniego numeru nic nie zapowiadało idącej nawałnicy wojennej, która przerwała życie Łowca Polskiego na długie 9 lat.

Nakład pisma wahał się w następujących granicach: w roku 1899 — 1.500 egzemplarzy, w 1907 r. — 3.400, w 1914 — 5.000 egzemplarzy.

W tym pierwszym okresie ukazały się nakładem redakcji Łowca Polskiego następujące wydawnictwa:

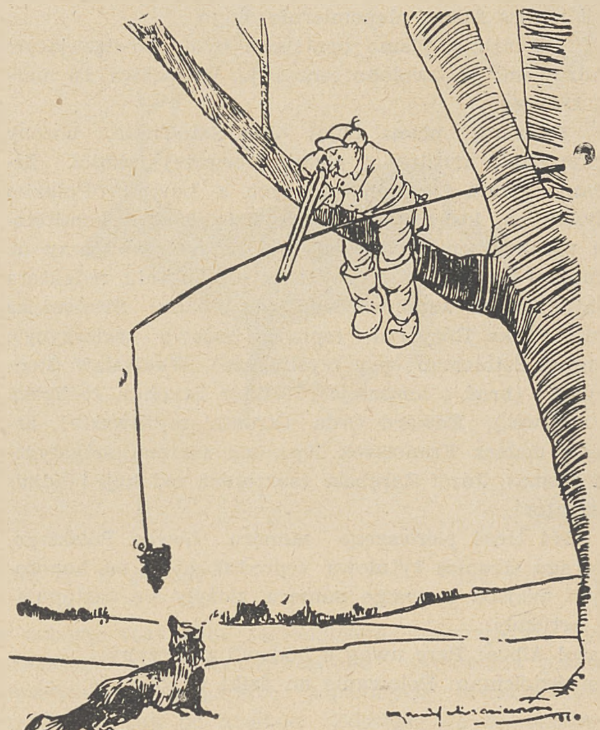
hr. Sylva Tarouca:	Hodowca a myśliwy,
Goedde:	Hodowla bażantów,
dr Maks Neumeister:	Żywienie jeleni i sarn,
J. Ostroróg:	Myślistwo z ogary,
R. Weber:	Żelaza i pułapki myśliwskie,
E. Dombrowski (przełożył z niemieckiego J. Oreński):	Myśliwy jako kolekcjonista,
C. Cronau:	Bażant łowny,
O. Hilfreich (przekład J. Oreńskiego):	Pies zdrowy a chory,
K. Lancaster (tłum. J. S.):	Sztuka strzelania i polowania,
J. Sztolcman:	Ornitologia łowiecka,
Oberlaender (przekład J. Oreńskiego):	Układanie wyżłów,
J. Oreński:	Głuszec,
Hegendorf (przekład J. Oreńskiego):	Podręcznik dla dzierżawców polowań,
V. Thuengen:	Obręby i parki zajęcze,
T. Roosevelt (przekład J. Oreńskiego):	Wędrówki afrykańskie przyrodnika - myśliwego.
J. Oreński:	Słownik łowiecki.



Z cyklu: „Pewne strzały" „Najpewniejszy strzał". Pięknie zrulowany sąsiad. Rys. Kamil Mackiewicz

1929 r.

Inflacja, ciężka sytuacja gospodarcza i powtarzające się zaburzenia polityczne, przez które przechodził



Z cyklu: „Pewne strzały" „Lis i winogrona" Rys. Kamil Mackiewicz

1929 r.

nasz kraj w ciągu kilku najbliższych lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej, nie sprzyjały odrodzeniu się ideowego łowiectwa ani wznowieniu wydawania Łowca Polskiego.

Toteż dopiero w roku 1923, w parę miesięcy po powstaniu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, przystąpiono do prac, związanych z przywróceniem do życia pisma łowieckiego. Pierwszy numer powojenny, kolejny 370, ukazał się z datą 1 stycznia 1924 r. Format wznowionego Łowca Polskiego pozostał dawniejszy, jako podtytuł dodano „Organ Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich".

Na treść numeru złożyły się:

Odezwa redakcji; A. Wysockiego: Zrzeszajmy się; F. Różyńskiego: Z Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich; B. Świętorzeckiego: Głuszec; J. Sztolcmana: Przeszłość i przyszłość żubra; Wł. Słonczyńskiego: Rzut oka na stan przemysłu bro-



Z cyklu: „Pewne strzały". „Idąc na dzika, bierz mary"

1929 r.

niowego po wojnie; J. Domaniewskiego: Przegląd polskiej literatury łowieckiej; Stanli: Obrazki myśliwskie.

Na redaktora Łowca Polskiego powołał Wydział Wykonawczy Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich ponownie Jana Sztolcmana, który dobrał współpracowników z pomiędzy wybitnych pisarzy, naukowców i fachowców w dziedzinie łowiectwa, jak: prof. Janusz Domaniewski, Stanisław Gaczeński, Włodzimierz Korsak, Stanisław Lilpop, Jan Morstin, Kazimierz Świderski i Józef Weyssenhoff.

Redakcja i administracja mieściły się z powrotem przy ul. Nowy Świat 35, w lokalach Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Drukowano Łowca Polskiego w Drukarni Nakładowej. Nakład pisma wynosił 1.850 egzemplarzy; wychodziło ono raz na miesiąc.

Od roku 1925, po zjednoczeniu się Łowca Polskiego z wydawanym w Warszawie drugim pismem łowieckim „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie", organ naszego Związku przekształcono na dwutygodnik. W związku z tą fuzją powołano Juliana Ejsmonda jako drugiego redaktora.

Nakład Łowca Polskiego zwiększył się od roku 1925 do 2.500 egzemplarzy; cena numeru wynosiła 1 zł.

Od roku 1927 sekretariat i administrację Łowca Polskiego obejmuje z powrotem Jerzy Oreński, w tym też roku Łowiec Polski przekształcony został na pierwszy w Polsce tygodnik łowiecki.

W roku 1928 Łowiec Polski okrywa się żałobą: umiera Jan Sztolcman, sprawujący funkcję redaktora przez 29 lat. Był to dla pisma cios wielki. Życie szło jednak niepowstrzymanie naprzód: na miejsce Zmarłego Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich powołał Walentego Włodzimierza Garczyńskiego.

Garczyński od roku 1928 do roku 1929 redagował Łowca Polskiego wraz z Julianem Ejsmondem, a następnie, wobec zrzeczenia się stanowiska redaktora przez tego ostatniego, prowadził pismo samodzielnie bez przerw od roku 1930 aż do wybuchu wojny w 1939 r. Funkcję sekretarza redakcji pełnił po śmierci Jerzego Oreńskiego, powołany na to stanowisko w roku 1934 — Władysław Zabiełło.

Od listopada 1932 r. Łowiec Polski ukazuje się trzy razy w miesiącu: 1, 10 i 20, powiększając jednak swą objętość i polepszając wydatnie szatę zewnętrzną. Nakład zamyka się ilością 3.500 egzemplarzy, prenumerata roczna wynosi 32 zł., pojedyńczego zeszytu — 1 zł. 20 gr. Drukuje Łowca Polskiego bardzo starannie firma F. Wyszyńskiego. W roku 1935, mimo dalszego wzrostu jakości pisma, a specjalnie strony lustracyjnej, prenumerata roczna uległa obniżeniu do 28 zł, zaś cena pojedyńczego egzemplarza do 1 zł.

Ogólna ilość numerów, wydanych od roku 1924 do 1939, czyli na przestrzeni 15 lat, wynosi 567.

W ciągu lat 1929 — 1939 ukazywał się co rok nakładem Łowca Polskiego „Kalendarz myśliwski", rozchwytywany dosłownie przez myśliwych.

Nakładem Łowca Polskiego ukazało się w tym okresie kilkadziesiąt odbitek, spośród których wymienimy poważniejsze:

Herman Knothe: Ocena trofeów łowieckich,

Józef Kobylański: Język łowiecki chlubą myśliwych a skarbem narodu,

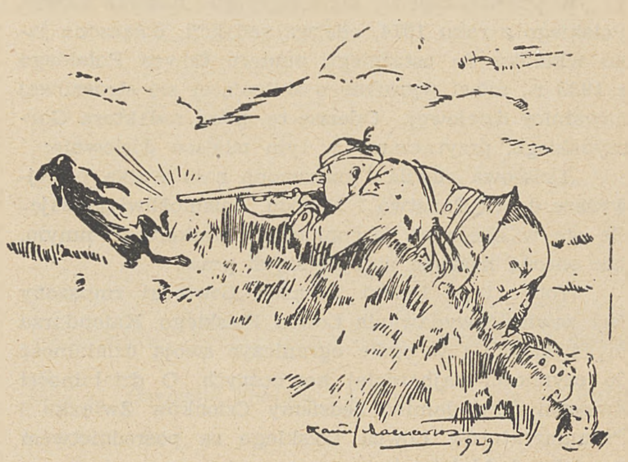
Jan Sztolcman: Jak uniknąć wypadków z bronią,

Władysław Zabiełło: Zadania i cele łowiectwa polskiego oraz drogi jego rozwoju,

Stanisław Zaborowski: Z psami.

Ostatni numer Łowca Polskiego przed wybuchem drugiej wojny światowej nosi datę 1 września 1939 r. (937). Na treść tego numeru złożyły się następujące artykuły:

Stanisław Hoppe: W sprawie wydawnictw łowieckich; Władysław Zabiełło: W sprawie polityki w dziale eksportu za granicę zwierzyny żywej; Stanisław Zaborowski: Afryka; Jerzy Błeszyński: Noc na Wołyniu; Wojciech Taczanowski: Dostał czy nie dostał; Edward Bohdanowicz: Jezioro Sajenek; Wł. Rydzewski: Na marginesie artykułu „Nasze dzierzby"; inż. Walery Mariański: Nasze zawody w strzelaniu myśliwskim w świetle balistyki; mjr. Kornel Zawadzki: Wolna Trybuna; Wł. Z.: Figura św. Huberta pod Płockiem; dr Jan Podgórny: Otwarcie strzelnicy w Katowicach; Program zawodów strzelecko - myśliwskich



Z cyklu: „Pewne strzały". „Z za okopu". Rys. Kamil Mackiewicz.

1929 r.

podczas wystawy łowieckiej w Równem; Przegląd wydawnictw; Zawody myśliwsko - strzeleckie MTŁ; Komunikat Związku Hodowców Wyżła Szorstkowłosego, sekcji kynologicznej WZM w Poznaniu; Odpowiedzi redakcji; Z Polskiego Związku Łowieckiego; Dział urzędowy; Mianowania łowczych i podłowczych powiatowych; Kronika myśliwska.



1934 r. Kłusownik *rys. J. Fałat*

Nakład pisma osiągnął w 1939 r. wysokość 6.500 egzemplarzy.

W przeciwieństwie do ostatniego numeru Łowca Polskiego z roku 1914, odezwa redakcji, dołączona jako wkładka do ostatniego numeru Łowca Polskiego z 1939 r., mówi wyraźnie o zbliżającej się straszliwej nawałnicy dziejowej. Odezwę tę, pióra redaktora Garczyńskiego, przytaczamy w tym miejscu dosłownie:

„Dziejowa chwila i narzucona nam walka o najwyższe dobra Państwa i Narodu, uniemożliwiają zajęcie się w obecnych warunkach czymkolwiek innym, jak obroną naszych najświętszych praw.

Wobec tego Polski Związek Łowiecki zmuszony jest zawiesić wydawanie Łowca Polskiego, Kalendarza myśliwskiego i w ogóle ograniczyć swoją działalność do czynności najbardziej koniecznych. O działalności Związku powiadamiać będziemy Członków Związku i Prenumeratorów Łowca Polskiego za pośrednictwem specjalnych biuletynów.

Dzięki wysiłkom Polskiego Związku Łowieckiego ten ciężki okres, jaki nam wszystkim przeżyć wypadnie, zastaje polski świat łowiecki w znacznym stopniu zorganizowanym i przygotowanym. Miejmy nadzieję, że te wartości, które potrafiliśmy ochronić dla Państwa i społeczeństwa, uda nam się choć w pewnej części uratować z dziejowej zawieruchy, i że po zwycięskiej wojnie będziemy mogli ze wzmożonym wysiłkiem dalej pracować na chwałę i pożytek drogiego nam wszystkim łowiectwa polskiego".

I oto znów Łowiec Polski zmuszony był zawiesić swą działalność na lat 7.

Warto może w tym miejscu podać krótkie wspomnienie z czasów okupacji.

Zbierający się w konspiracji członkowie Naczelnej Rady Łowieckiej urządzili skromny obchód Hubertowy w dniu 3 listopada 1942 r. w mieszkaniu kol. Andrzeja Śliwińskiego, zapraszając na tę uroczystość szereg kolegów myśliwych. Wielką atrakcją tego zebrania było odczytanie specjalnego numeru Łowca Polskiego, który kilku kolegów wspólnie opracowało.

Na treść tego czytanego pisma złożyły się prace: Jerzego Dylewskiego: 3 listopad w kartkach i zapiskach myśliwego; Walentego Garczyńskiego: Przemiany pojęć o prawidłowym łowiectwie; Zbigniewa Kowalskiego: Jesteśmy jako wilki w sznurach.

Na zebraniu postanowiliśmy jednogłośnie, że prace te ukażą się w Łowcu Polskim po wojnie, bowiem przez chwilę żaden z nas nie przestał wierzyć, że Łowiec Polski wychodzić będzie nadal w wolnej Ojczyźnie. Postanowienia tego nie zrealizowaliśmy, gdyż rękopisy spłonęły w Warszawie w 1944 r.

*

Prorocze były słowa wrześniowej odezwy ostatniego redaktora Łowca Polskiego, W. W. Garczyńskiego. Bowiem już w 1945 roku, podczas trwającej jeszcze wojny, Łowiec Polski powstał, początkowo jako Biuletyn Informacyjny (4 numery od września do grudnia), a 1 kwietnia 1946 r. odrodziło się nasze pismo związkowe jako dwumiesięcznik i organ PZŁ.

Numer pierwszy opatrzony jest kolejnym numerem 938 i na treść jego składa się:

Jerzy Dylewski: Pamięci redaktora Walentego Garczyńskiego; prof. Witold Ziembicki: Na szlakach mitologii; Kazimierz Świderski: O przyszłość naszych sarn; Zbigniew Kowalski: Hauptman i Diadia Pud; Mieczysław Mniszek Tchorznicki: Stosunek łowiectwa do ochrony przyrody; Zezwolenia na posiadanie broni myśliwskiej; Dzierżawa terenów łowieckich; Nawiązanie stosunków łowieckich z Węgrami; Stan zwierzyny na Węgrzech; Z działalności Polskiego Związku Łowieckiego; prof. J. Gieysztor: Podstawy łowiectwa (jest to pierwszy odcinek specjalnego dodatku do pisma).

Redakcja pisma mieściła się początkowo w mieszkaniu kol. Józefa Skrzypka, w Warszawie przy ulicy Miedzianej 4a, ale w roku 1947 PZŁ otrzymał zezwolenie na odbudowę z gruzów i ruin lokalu przy ul. Nowy Świat 35, dokąd też z początkiem 1948 r. przeniosły się redakcja i administracja pisma.

Druk Łowca Polskiego odbywał się kolejno: w zakładach graficznych: Gryf, Czytelnik, Wojskowy Instytut Geograficzny, wreszcie Prasa Wojskowa.

Nakład wzrastał następująco: w 1946 r. — od 3 do 15 tysięcy egzemplarzy, w 1947 r. — od 20 do 25 tysięcy egz., w 1948 r. — od 30 do 33 tysięcy egz. Równocześnie wzrastała też wysokość prenumeraty:

w 1946 i 1947 r. — 200 zł. rocznie, w 1948 r. — 400 złotych, w 1949 r. — 450 zł, zaś cena pojedynczego zeszytu odpowiednio: 35 zł, 50 zł i 60 zł.

W tym samym okresie jako odbitki, względnie jako dodatki do Łowca Polskiego, ukazały się następujące wydawnictwa.

Prof. Józef Gieysztor: Podstawy łowiectwa;

Zbigniew Kowalski: Używanie broni i bezpieczeństwo na polowaniu;

Antoni Brudnicki: Podstawowe wiadomości o wychowie, karmieniu i tresurze psów myśliwskich.

Tadeusz Śliwiński: Życie jeleni.

III. STALI WSPÓŁPRACOWNICY ŁOWCA POLSKIEGO

Okres 1899 — 1914 r.

Biesiekierski J., Czerniejewski Władysław, Dębicki K.

Ejsmond Julian, poeta myśliwy, którego płynność wiersza walczyła o lepsze z głębią tematyki, poeta miłości do przyrody i do dziecka, współpracował od roku 1913. Jego wiersze i bajki myśliwskie nie mają sobie równych w naszej literaturze.

Gąsiorowski Wacław, Gürtel Władysław,

Korsak Włodzimierz, wszechstronnie uzdolniony poeta, artysta malarz i fotograf, autor wielu książek łowieckich: beletrystycznych i dydaktycznych, szczególnie wartościowych dla młodzieży. Współpracuje od roku 1904 do dnia dzisiejszego;

Mniszek Albert, redaktor Łowca (Lwów), świetny pisarz i poeta myśliwy, Metzig Tadeusz;

Oreński Jerzy, sekretarz redakcji, prowadził z wielką pieczołowitością dział humorystyki i „Ze świata", współpracował od roku 1902.

Orda Edward, Rożyński Feliks, piszący specjalnie o ekonomicznym znaczeniu łowiectwa i hodowli.

Rzewuski Adam.

Słonczyński Władysław, autor licznych prac z zakresu amunicji i broni myśliwskiej, Szabłowski G.

Śliwiński Artur, autor pięknych wierszy i pieśni myśliwskich, Stankiewicz L. dr.

Stephan Wiktor, nadleśniczy z Chojnowa, autor wielu monografii zwierzyny łownej, drukowanych w Łowcu Polskim. Na rozstaju dróg w Chojnowskich lasach kamień na grobie Stephana mówi: „Tu spoczywa duch mój".

Sztolcman August, autor wielu prac źródłowych z dziedziny kynologii.

Sztolcman Jan, autor przeszło 150 prac drukowanych w Łowcu Polskim; większe prace: Nad Nilem niebieskim, Peru, Łowiectwo, O dymorfizmie płciowym, Żubr. Współpracował od roku 1899.

Weyssenhoff Józef, jeden z najwybitniejszych pisarzów polskich, który wprowadził łowiectwo do naszej literatury pięknej.

Woyniłłowicz Józef — świetny narrator łowiecki, dziś już zapomniany. Jego opisy przyrody są tak pełne barw, jak obrazy J. Fałata. Opisami kniei i przygód myśliwskich wyprzedził takich mistrzów pióra, jak: J. Weyssenhoff, J. Ejsmond i St. Zaborowski.

Zaborowski Stanisław — jak nikt inny potrafił otworzyć przed czytelnikiem - myśliwym sece kniei. Jego wspaniałe opisy łowieckie, które wpierw wychodziły drukiem jako oddzielne broszury (Na niedźwiedzia 1903 — Na rojstach litewskich — 1904 — Jak trubadur 1914) zamknął autor w 1914 r. w jednej książce pt. „W sercu kniei". Współpracował od roku 1902.

OKRES 1923 — 1939

Bartkiewicz Zygmunt, świetny powieściopisarz, autor nowel łowieckich.

Bielski Juliusz, Błeszyński Jerzy, dr Buszyński Henryk.

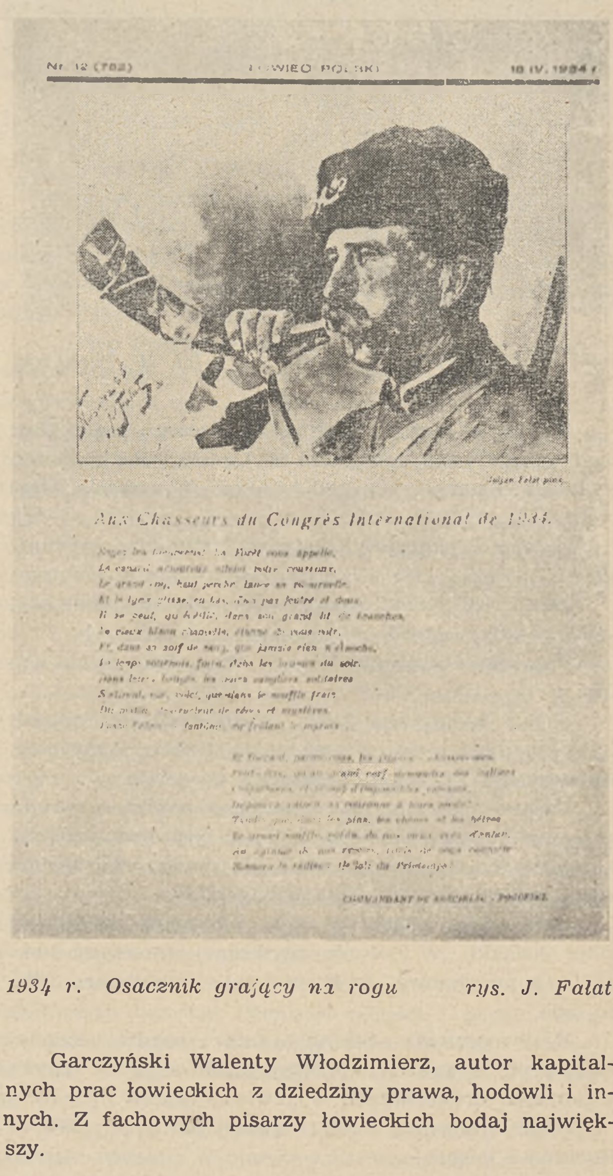
Burzyński Władysław dr nadleśniczy, autor nagrodzonej na Olimpiadzie pracy łowieckiej „Z Karpat", wnikliwy pisarz myśliwski, wybitny znawca fauny górskiej.

Czerniejewski Władysław, piewca tajg i stepów.

Domaniewski Janusz, wybitny uczony, autor wielu dzieł z zakresu ornitologii łowieckiej, profesor uniwersytetu. Współpracuje od roku 1924 do dnia dzisiejszego.

Dunajewski Andrzej, Dylewski Jerzy.

Fałat Julian, którego świetne pamiętniki były jeszcze przed wydaniem książkowym drukowane w naszym piśmie.



1934 r. Osacznik grający na rogu *rys. J. Fałat*

Garczyński Walenty Włodzimierz, autor kapitalnych prac łowieckich z dziedziny prawa, hodowli i innych. Z fachowych pisarzy łowieckich bodaj największy.



1936 r. Trop wilka *fot. W. Puchalski*

Garfinkiel Matias, podróżnik, którego praca „Łosie i łososie" szła odcinkami w Łowcu Polskim przed wydaniem książkowym, pod tytułem „Wrażenia z Brytyjskiej Kolumbii".

Gürtler Władysław, Gieysztor Józef, Hoppe Stanisław.

Janta Połczyński Aleksander, świetny publicysta, autor pięknych nowel myśliwskich.

Kamocki Stanisław, Karney Emil, Karpowicz Tytus.

Kellus Lipkowska Zofia, pełna wielkiej miłości do przyrody, wysoce uzdolniona poetka i myśliwa, Kleszczyński Zdzisław, znakomity nowelista.

Knothe Herman, inż., zasilający swymi artykułami łamy Łowca Polskiego o treści nieprawdopodobnie wszechstronnej, od wspomnień do monografii łowieckich, współpracuje do dnia dzisiejszego.

Kobylański Józef Wł. kpt., bibliograf myśliwski, autor książki „W obronie użytecznej zwierzyny łownej" (z przedmową J. Ejsmonda), bibliotekarz PZŁ do dziś.

Krzywoszewski Stefan, autor bardzo cenionej książki pt. „Z wrażeń i przeżyć myśliwskich" i innych wspomnień drukowanych w „Świecie".

Leski Stanisław, autor większej pracy pt. „Wśród Huculów i jeleni".

Lilpop Stanisław (Stanli), Lisowski Czesław, Longchamps Andrzej, Lepecki B. mjr.

Łabędź Maksymilian dr weterynarii, miłośnik psa, autor wielu prac traktujących o kynologii, szczególnie o chorobach psów.

Mariański Walery, generał WP, autor świetnych artykułów o nowoczesnej broni kulowej, balistyce i ostatnich zdobyczach polskich fabryk amunicji myśliwskiej.

Makuszyński Kornel, autor kapitalnych humoresek myśliwskich.

Metzig Tadeusz.

Pac Pomarnacki Leopold, autor licznych monografii zwierzyny łownej.

Pawlikowski Michał, Pieniążek Czesław, autor pracy „Wyprawa do Abisynii", Podgórny Jan dr inż., Podhorski Wacław, Podoski Józef kpt.

Rzewuski Adam, Rzyszczewski Leon, Russel Stefan.

Skrzyński Stanisław, generał, Śliwiński Andrzej, Śliwiński Tadeusz, wybitny znawca króla naszych kniei, jelenia.

Sokołowski Jan dr, Sołtan Otton, Świderski Kazimierz.

Świętorzecki Bolesław, piewca pieśni głuszcowej i uroku mszarów i rojstów, przyrodnik i myśliwy, który potrafił podpatrzyć i opisać najchytrzejszego z rabusiów naszych lasów — wilka.

Szczepkowski Józef, Szumilas (Zajdler) Paweł.

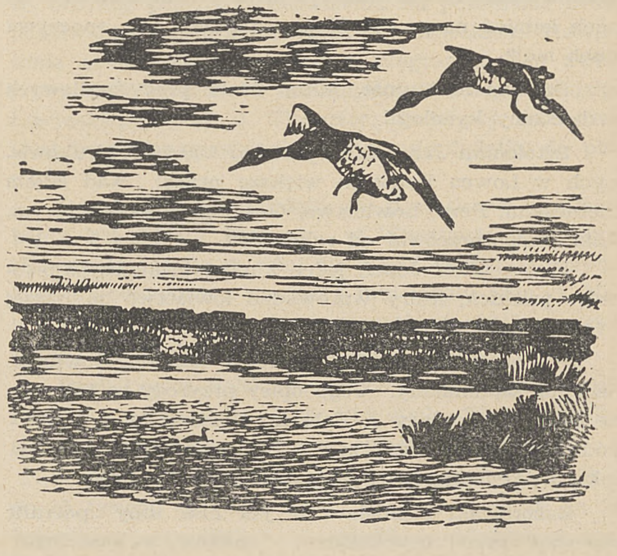
Tchorznicki Mniszek Mieczysław, jeden z najwybitniejszych pisarzy łowieckich, piszący o wszystkich gałęziach łowiectwa z pasją i prawdziwym zamiłowaniem. Współpracuje do dzisiaj.

Wagner Edmund, Weyssenhoff Józef, Wodzicki Kazimierz dr prof. inż., Woyniłłowicz Józef.

Zabiełło Władysław, poeta, dziennikarz, autor długiego szeregu artykułów redakcyjnych Łowca Polskiego. Współpracuje do dnia dzisiejszego.

Ziembicki Witołd, dr profesor historii, bibliograf, badacz łowiectwa. Współpracuje do dnia dzisiejszego.

Żarnowski J.



1937 r. Kaczory *rys. J. Kirylenko*

OKRES 1945 — 1949.

Błeszyński Jerzy dr, Cenkier Stanisław, Dylewski Jerzy, Domaniewski Janusz prof., Gieysztor Józef prof., Goetz Józef dr inż.

Kobylański Józef kpt., Korsak Włodzimierz inż., Kowalski Zbigniew, Krzywoszewski Stefan, Metzig Tadeusz, Pac Pomarnacki Leopold, Podgórny Jan dr inż., Popławski Leon, Puchalski Włodzimierz inż., Rzyszczewski Leon, Śliwiński Andrzej, Śliwiński Tadeusz, Wiktor Stefan, Steliński Stanisław, Świderski Kazimierz, Tarnowski Kazimierz, Mniszek Tchorznicki Mieczysław, Wagner Edmund, Zabiełło Władysław, Zapolski Downar Henryk płk., Ziembicki Witołd prof. dr.

Wielu z wymienionych wyżej stałych współpracowników Łowca Polskiego umieszczało swe prace w okresie 1924 — 1939, zaś Włodzimierz Korsak, Herman Knothe i Tadeusz Metzig, co po raz drugi podkreślam, pisywali jeszcze w okresie 1899 — 1914, a więc współpracowali z Łowcem Polskim wiernie i niestrudzenie w ciągu półwiecza istnienia naszego pisma. Bowiem praca na wdzięcznej niwie łowieckiej ma to do siebie, że przykuwa ludzi jak łańcuchem — na zawsze.

IV. ILUSTRACJE ŁOWCA POLSKIEGO

Jako tytułowa winieta Łowca Polskiego figurowała przez cały pierwszy okres 1899 — 1914 akwarela Juliana Fałata, przedstawiająca okrytą śniegiem wieś puszczańską i zdążający ku niej sznur sań myśliwskich. Wielki ten artysta zdobił karty Łowca Polskiego, dając chętnie i niestrudzenie szereg wybitnych rysunków, łącznie około 100 prac. Osaczników, Kłusownika i Trębacza reprodukujemy w obecnym numerze.



1938 r. Niedźwiedź *rys. Z. Fijałkowska*



1948 r. Wilk na trybie *fot. W. Puchalski*

Pamięci Juliana Fałata poświęcono w 1928 r. specjalny numer 50 Łowca Polskiego, ilustrowany najcelniejszymi pracami tego wielkiego artysty i myśliwego, a jako winietę umieszczono jego niewykorzystany jeszcze rysunek: Osacznik grający na rogu.

Łowiec Polski był ponadto ilustrowany periodycznie świetnymi pracami kierownika artystycznego pisma, a wielkiej miary artysty, Franciszka Ejsmonda.

Tytułową stronę każdego prawie numeru Łowca Polskiego w okresie 1899 — 1914, zdobiły ilustracje, niejednokrotnie bardzo dobre, nieznanych, niestety, autorów. „Stanowienie odyńca“ czy „Spadająca słonka“, które reprodukujemy w numerze 50-lecia, są świetne i znakomicie oddają charakter i sposób sztuki rysowania z początku bieżącego stulecia.

Z rysunków zamieszczonych (w okresie 1924 - 39) wyróżniają się prace Jerzego Kossaka, Chrostowskiego, Jakimczuka, Sichulskiego, J. Dylewskiego, Kirylenki, Zofii Fijałkowskiej, Mackiewicza.

Ilustracje, wykonane dla Łowca Polskiego przez trzech wymienionych na końcu artystów, reprodukujemy w numerze pięćdziesięciolecia.

Szczególnie karykatury Mackiewicza z cyklu „Pewne strzały“ są tak kapitalne w ujęciu, że nie można sobie wprost wyobrazić inaczej i lepiej przedstawionych przez malarza wesołych, jakże często zresztą prawdziwych, scen myśliwskich.

W ostatnim okresie od 1946 roku doszedł do wymienionych nazwisk mistrzów ołówka i pędzla, artysta malarz, kolega Stanisław Rozwadowski, którego świetne okładki i ilustracje zdobią Łowca Polskiego od szeregu miesięcy.

Fotografia myśliwska, której nieśmiałe i naiwne początki widzimy w pierwszych rocznikach Łowca Pol-

skiego (lata 1902 — 1904), a której charakterystyczne odbitki umieszczamy w pięćdziesięcioletnim numerze, jak: „Jeleń w górach" i „V wystawa psów myśliwskich", osiągnęła, jak na ówczesne lata, poziom bardzo wysoki. Fotografie z lat 1913 — 1914 z wyprawy do Afryki dra St. Zaborowskiego i S. Lilpopa są już tak dobre, że w roku 1929 zdobywają nagrody na konkursach. Jako tak zwane ówcześnie „zdjęcia z natury" widzimy ponadto w pierwszych rocznikach fotografie żubrów, bobrów i łosi, robione, niestety w zwierzyńcach.

Prawdziwa jednak fotografia myśliwska, która odeszła od szablonów: pokotu zwierza, psa na smyczy czy dumnego niepomiernie myśliwca, opartego nogą na powalonym dziku, wiąże się ściśle z nazwiskiem inż. Włodzimierza Puchalskiego.

Piękny w swej prawdzie, niezrównany pod względem wykonania technicznego trop wilka, dzieło tego świetnego przyrodnika, fotografa i myśliwego, reprodukujemy w jubileuszowym Łowcu Polskim.

Zdjęcia Włodzimierza Korsaka, który w ostatnich latach przed wojną porzucił strzelbę dla kamery, dorównują prawie stroną techniczną zdjęciom Puchalskiego, a przewyższają je może ujęciem tematu i prostotą środków wykonania.

Wysoki poziom fotografiki myśliwskiej osiągnęli też inni współpracownicy naszego pisma, koledzy: Andrzej Dobrski, W. Wysocki, Wiśniewski, dr J. Karpiński, dr. Aleksander Kelus, admirał M. Borowski, J. Bończa Markowski, W. Pikiel, J. Hołyński, Matjas Garfinkiel, E. Wojnicki, Kazimierz Świderski, dr J. Błeszyński, dr A. Gmerek, Zofia Chomętowska, Antoni Bądzyński, E. Woynicki.

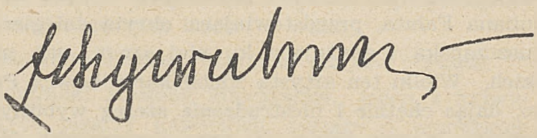
*

Rzadkich złotych godów doczekał się więc w kwietniu 1949 roku Łowiec Polski. Niewiele pism w naszym kraju może się poszczycić tak poważnym, półwiekowym dorobkiem i tak poważną tradycją.

Nie wszystkie co prawda tradycje, choćby najbardziej czcigodne i dostojne, należy pielęgnować, nie wszystkie też tradycje należą do najlepszych. Niemniej jednak są takie, którym oddać należy cześć najgłębszą i zachować pamięć najtrwalszą.

A do tych najlepszych i najgłębszych tradycji Łowca Polskiego należy umiłowanie rzetelnej, codziennej i prawdziwej pracy. Pracy ideowej na niwie łowiectwa polskiego. Pracy, której nie przerwały dwie wojny, straszliwa okupacja, kryzysy i inflacja, pracy, która szła na przekór obojętności i złej woli ludzkiej, pracy oddanej, bezinteresownej, płynącej z najżarliwszego umiłowania przedmiotu.

Niech więc ten numer pięćdziesięciolecia będzie skromnym, ale ze szczerego serca płynącym hołdem dla niestrudzonej pracy tych kilkunastu żyjących jeszcze kolegów, którzy przyczynili się do jubileuszu Łowca Polskiego. Niech też będzie niezniszczalnym dowodem pamięci o tych wielu, bardzo wielu współpracownikach, których już dziś między nami nie ma.



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

REDAKTORZY ŁOWCA POLSKIEGO

JAN SZTOLCMAN

Kiedy w 1899 r. ukazał się pierwszy numer Łowca Polskiego, podpisuje go, jako redaktor naczelny, Jan Sztolcman. Cóż dziwnego, że wybór padł na niego. Przecież nikt inny nie był bardziej predestynowany na to stanowisko, jak właśnie Sztolcman. Uczony o sławie europejskiej, wspaniały myśliwy, znany podróżnik, wybitny znawca łowiectwa, chwyta tym chętniej za pióro redaktorskie, że dzięki jego inicjatywie pismo to powołano do życia. Łowiec Polski był jego „ideowym dzieckiem", które musiał wychować i w świat wprowadzić.

Już pierwsze numery tego pisma świadczą o wysokim poziomie, jaki nadał mu jego redaktor, a dobór współpracowników gwarantował utrzymanie tego poziomu.

O Janie Sztolcmanie można napisać kilkutomową biografię, a byłaby to praca dla kilku autorów. Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi na scharakteryzowanie tej sylwetki z taką dokładnością, na jaką zasługuje.

Niezwykle skromny Sztolcman nie był błyskotliwym mówcą, ale gdy zaczął opowiadać o swych odkryciach ornitologicznych, o własnych podróżach czy o łowiectwie, rozumiało się od razu, że mówi człowiek głębokiej wiedzy i wybitny fachowiec.

Jan Sztolcman nadał Łowcowi Polskiemu kierunek; on w numerze pierwszym z dnia 20 marca 1899 r., w artykule „Od redakcji", wyraźnie ten kierunek wyznacza:

„Rozpowszechnianie przeto pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiej, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzej własności w zastosowaniu do myślistwa — stanowić będzie najgłówniejsze zadanie Łowca Polskiego".

„Poza tym będziemy się starali informować czytelników naszego pisma o wszelkich najnowszych wynalazkach i postępach w dziedzinie broni myśliwskiej,

teorii i techniki strzału oraz balistyki i sportu strzeleckiego, poświęcimy też niemało miejsca psom myśliwskim, tym najwierniejszym towarzyszom myśliwych. W ogóle nie zaniedbamy niczego, co ma związek z myślistwem, co może być pożyteczne lub ciekawe dla miłośników łowiectwa".

Mimo olbrzymich reform i zmian, jakie przeszło łowiectwo w okresie ostatnich pięćdziesięciu lat, słowa Jana Sztolcmana pozostają stale aktualne, stanowią jakby credo redaktorów i współpracowników Łowca Polskiego.

I wielką zasługą następców Jana Sztolcmana jest, że kierunek przez niego wytyczony nie został wypaczony. Łowiec Polski pozostał do dziś dnia wierny zadaniom i słowom, które wypowiedział jego zasłużony założyciel i pierwszy redaktor.

Sztolcman mógł Łowca Polskiego postawić od razu na tak wysokim poziomie dzięki osobistej wiedzy przyrodniczej, licznym podróżom i znajomości łowiectwa.

Liczne rozprawy tego wielkiego uczonego, wydane w wielu językach Europy, drukowane w zagranicznych wydawnictwach naukowych, rozsławiły jego nazwisko i przypominały w czasach niewoli o istnieniu Polski.

Wyprawy do Peru, Afryki i na Daleki Wschód pozwoliły mu zapoznać się z egzotyczną zwierzyną, a wspaniale opracowane wspomnienia i szkice z tych wypraw stanowią prawdziwe perły w polskim piśmiennictwie łowieckim.

Jan Sztolcman pracował jako naukowiec w Państwowym Muzeum Zoologicznym, a przed tym w Muzeum Branickich. Opracowywał ze specjalną namiętnością ptaki Ameryki Południowej.

Opublikował siedemdziesiąt kilka rozpraw naukowych, z których na pierwszy plan wysuwa się praca z roku 1895 „O dymorfizmie płciowym", w której przeciwstawia się teorii Darwina.

Z prac większych wymienić trzeba dwutomowe dzieło pt. Peru, Nad Nilem Niebieskim, Szkice ornitologiczne, Ornitologia łowiecka, Próba uporządkowania nomenklatury ptaków.

Prace Sztolcmana cechuje nie tylko znajomość i głębokie opracowanie tematu, ale także wielka prostota stylu, która ułatwia studiowanie.

Jan Sztolcman był nie tylko uczonym zoologiem, ale i zapalonym myśliwym. Umiał patrzeć na zjawiska przyrodnicze nie tylko przez mikroskop, ale jak mało ludzi, widział w przyrodzie — piękno. Dał temu wyraz w opisach polowań. Sztolcman w przyrodzie znajduje nie tylko temat do pracy lub emocję łowiecką, Sztolcman szuka w wszechświecie tego czegoś do czego tęskni dusza ludzka. Redaktor Łowca Polskiego znajduje w obcowaniu z przyrodą — ułatwiony kontakt z Bogiem i to go napawa radością i wiarą.

Jan Sztolcman do ostatnich chwil swego życia nie rozstawał się z redakcją Łowca Polskiego. Jeno przerwa w wydawaniu Łowca Polskiego, wywołana pierwszą wojną światową, a trwająca od pierwszego sierpnia 1914 r. do 1924 r., oderwała Sztolcmana od stołu redaktorskiego, nie licząc kilku przerw krótszych, kiedy to wyjeżdżał za granicę na wyprawy naukowe do Ameryki Południowej czy wgłąb „Czarnego Lądu".

Od roku 1925, po połączeniu się pism „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" z Łowcem Polskim pod dawnym tytułem „Łowiec Polski"—Sztolcman redaguje je wespół z Julianem Ejsmondem.



Jan Sztolcman

Dnia 26 kwietnia 1928 roku odszedł w zaświaty Jan Sztolcman, okrywając polskie społeczeństwo łowieckie prawdziwą żałobą.

Choć odszedł — myśli jego żyją w nas a przekazywane młodszym, przetrwają tak długo, jak długo istnieć będą ideowi myśliwi.

JULIAN EJSMOND

Julian Ejsmond był współredaktorem Łowca Polskiego od roku 1926 do kwietnia 1928 r. razem z Janem Sztolcmanem, potem z Walentym Garczyńskim.

Krótka praca w naszym gronie nie pozwoliła Ejsmondowi na wyładowanie jego literackiej energii. Był to człowiek różniący się wybitnie od swoich kolegów współredaktorów. Jego zamiłowania literackie były mu nieraz przeszkodą w pracy redakcyjnej; chciał on z Łowca Polskiego zrobić pismo łowieckie o charakterze literackim. Niejednokrotnie zarówno Sztolcman, jak później i Garczyński, musieli powstrzymywać Ejsmonda w jego dążnościach literackich. Wpływ jednak tego wybitnego poety, publicysty i pisarza pozostał w Łowcu Polskim, czego dowodem jest podniesienie poziomu beletrystyki łowieckiej.

Julian Ejsmond urodził się w roku 1892. Ukończył Gimnazjum Gen. Chrzanowskiego w Warszawie, po czym wstąpił na Uniwersytet Warszawski. Wyższe studia ukończył na Wydziale Humanistycznym w Warszawie, już w Odrodzonej Polsce.

Od zarania życia otoczony w domu rodzicielskim najwyższą elitą pisarzy, z Sienkiewiczem na czele, nie mógł już Ejsmond oderwać się od prac literackich. Cóż dziwnego? Czułe na piękno serce młodego Ejsmonda coraz silniejszym biło rytmem, gdy słyszał słowa Sien-

kiewicza, Rabskiego i innych. A kiedy zdał sobie sprawę z posiadanego talentu pisarskiego, Muza chwyciła go w swe ramiona.

Przez długi czas piastuje godność referenta łowieckiego w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Dzięki jego usilnym staraniom i współpracy ukazuje się w roku 1927 do dziś obowiązujące Rozporządzenie Prezydenta RP o prawie łowieckim.

Ale praca w Ministerstwie nie zadowala Ejsmonda. Domeną jego zainteresowań jest twórczość literacka. Tu wyżywa się jego talent i wykazują się jego możliwości.



Julian Ejsmond

Tłumaczenia z łaciny, prace publicystyczne, wiersze, bajki, wspomnienia łowieckie, książki dla dzieci itd., oto ogromna skala twórczości Ejsmonda, świadcząca o jego potężnym talencie.

Z prac jego społeczno - publicystycznych znane są dwie: pierwsza wydana w roku 1915 pt. „Polska w pieśniach cudzoziemców", druga wydana w roku 1920 pt. „Praca kulturalno - oświatowa". Do tej kategorii zaliczyć by można też pewną ilość wierszy o charakterze religijnym. Nikt nie spodziewał się, że tłumacz „Pieśni miłosnych Owidiusza" zajmuje się pisaniem wierszy religijnych.

Może w żadnej dziedzinie twórczości nie wykazuje Ejsmond tak wielkiego talentu jak w bajkopisarstwie.

On to po Lemańskim i Hertzu, zgodnie z tradycją, stawia ten rodzaj twórczości na wysokim poziomie. Ejsmond miał niezwykłe wyczucie rzeczywistości, chłoszcze więc bez litości biurokrację, rząd, życie społeczno - polityczne, wszystko, co tak bardzo u nas szwankowało. Mimo ciętości i dowcipu nie znajdujemy w bajkach złośliwości. Smaga dowcipem, ale nigdy nie ubliża godności człowieka.

Wydaje też cztery tomy wierszy, z których tom pt. „W słońcu" rozsławił nazwisko Ejsmonda jako poety.

Obok prac własnych, tłumaczy Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Owidiusza, Swentoniusza i Petroniusza.

Za archaiczne tłumaczenie wierszy Jana z Czarnolasu dostaje Ejsmond w roku 1919 pierwszą nagrodę literacką Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Jego miłość do dzieci odzwierciedla się w poświęconych im mistrzowskich wierszach. Liryzm, sentymentalizm i miłość przebija z tej poezji, a umiłowanie piękna każe ubierać ją w najwspanialszą formę stylistyczną.

Nas myśliwych interesuje jednak przede wszystkim twórczość Ejsmonda na odcinku literatury łowieckiej. Jest ona też bogata. Wspomnienia łowieckie, nowele, wiersze, prace z historii łowiectwa, oto dziedzina łowiecka w działalności literackiej Ejsmonda.

Celem twórczości łowieckiej Ejsmonda było nie tylko ukazanie i opisanie piękna w przyrodzie, ale przede wszystkim wskazanie ludziom drogi do pozbycia się trosk, do szerszego życia — życiem wolnej przyrody.

W jednej noweli pisze:

„...Ale skoro las zaszumiał i trąby zagrały na znak rozpoczęcia łowów, Bolesław zapomniał o troskach, o wygnaniu, o klątwie. Las grał. Las pełen był radości myśliwskiej, pod której czarodziejskim tchnieniem pierzchają najczarniejsze myśli świata, jak stada małych ptasząt przed łowczym ptakiem".

To nie były dla poety nic nieznaczące frazesy. Autor przeżył je i zrozumiał, że las, pole, wody, natura cała daje ludziom ogromny spokój, ukazując swe bezwzględne piękno, którym trzeba się zachwycić.

Dnia 29 czerwca 1930 roku, wskutek nieszczęśliwego wypadku odszedł w pełni sił, tak jak przeczuwał w jednym ze swych wierszy:

„A gdy przyjdzie godzina mojego zachodu
Zajdę jak słońce — jasne do ostatniej chwili.
Nigdy nie będę drzewem, co dumne za młodu,
Z wiekiem ku ziemi się chyli...
Gdy przyjdzie czas odlotu do krainy innej,
To odlecę w porywie szczęścia i natchnienia,
Jak ptak, co uciekając z ziemi niegościnnej,
Ziemię na niebo zamienia...".

Przypisek Redakcji. W „Słowniku Biograficznym" (wyd. Pol. Akademii Umiejętności) prof. W. Ziembicki zamieścił obszerniejszy życiorys śp. Ejsmonda.

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI

Prawie natychmiast po śmierci Jana Sztolcmana, na jego miejsce w redakcji Łowca Polskiego wyznaczył Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich — Walentego Garczyńskiego. Już 9 maja 1928 r. przystąpił on wespół z Jalianem Ejsmondem do pracy redaktorskiej, a w rok później zostaje samodzielnym redaktorem Łowca Polskiego. Na stanowisku tym pozostaje aż do wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 r., która przerwała wydawnictwo naszego organu.

Walenty Garczyński urodził się w r. 1881 w Brodnie, pow. gostynińskiego. Po ukończeniu V gimnazjum filologicznego, wstępuje na Politechnikę Warszawską,

ale jej nie kończy. W r. 1908 otrzymuje dyplom z Wydziału Prawnego Uniwersytetu Odeskiego.

W Odrodzonej Polsce pracuje w Ministerstwie Oświaty, później w Ministerstwie Robót Publicznych. Krótko prowadzi kancelarję adwokacką, a od roku 1931 do r. 1939 jest sędzią Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Warszawie. Od zarania swego życia Garczyński interesował się łowiectwem i ciekawiły go zjawiska przyrodnicze. W licznych wędrówkach po kniejach i puszczach, wodach i polach, zdobywa tak bogaty zasób wiedzy przyrodniczej, że śmiało można o nim powiedzieć, że był najlepszym znawcą spraw łowieckich w Odrodzonej Polsce.

Nie było komisji czy komitetu w Polskim Związku Łowieckim, w którego pracach nie brałby Garczyński udziału. Za jego wielką, niestrudzoną, ideową, pełną poświęcenia i wnikliwości pracę, Kapituła Odznaczeń nadała mu najwyższe odznaczenie—„Złom".

Któż z nas, biorących udział w tych zebraniach, nie pamięta Garczyńskiego. Nieraz, zwłaszcza my młodzi, podśmiewaliśmy się, gdy podczas ożywionej dyskusji, usłyszeliśmy chrapanie śpiącego redaktora. Ale Garczyński, wiedziony przedziwną intuicją, budził się w momencie jakiegoś sporu i rzeczową uwagą natychmiast go rozstrzygał, aby za chwilę znów zapaść w słodką drzemkę.

W dyskusji był groźnym przeciwnikiem. Świetny znawca stosunków łowieckich w Polsce potrafił jednym zdaniem osadzić oponenta. Uwagi swoje wypowiadał w tonie prostym, ale nieraz cięta, błyskotliwa odpowiedź hamowała z miejsca zbyt pochopne twierdzenia innych. Był groźnym, jeszcze raz podkreślam, przeciwnikiem, ale tylko dla równych sobie wiekiem.

Dla nas młodszych był naprawdę starszym kolegą, jakby korepetytorem. Nie zniechęcał do pracy ironią czy uszczypliwymi docinkami, poprawiał nasze prace, uczył i dyskutował, jakby wykładał zasady łowiectwa.

Kiedy zacząłem bywać w Klubie Łowieckim przy Nowym Świecie 35, jako bardzo młody człowiek, ale o wielkich ambicjach łowieckich, Garczyński nieraz prowadził ze mną długie rozmowy, wytykał błędy w mych pracach, uczył i poprawiał jak ojciec moje artykuły. Raz, pamiętam, napisałem pewną niedorzeczność, usunął ją z artykułu, wytknął mi ją, ale nie śmiał się z młodego autora.

Oto wielka zaleta tego człowieka o cudownie dobrym sercu, choć nieraz rubasznym usposobieniu.

Garczyński poza Łowcem Polskim zajmował się ze specjalnym zamiłowaniem hodowlą psa myśliwskiego w Polsce. Był przewodniczącym Kolegium Sędziów, prezesem „Pointer Klubu" itp. instytucji kynologicznych.

Zawsze prawie w dobrym humorze, świetny kompan przy bridge'u czy na polowaniach, był Garczyński nieoceniony i powszechnie lubiany.

Nadchodzi wojna. Ciężkie czasy oblężenia Warszawy, później trudności życia pod okupacją, nadwyrężają zdrowie Garczyńskiego. Zapada coraz bardziej, aż wreszcie nie opuszcza fotelu. Ciężka choroba, która go nawiedziła, nie zmienia jednak jego usposobienia. W mieszkaniu jego przy ul. Kredytowej zbierają się nieraz myśliwi, których krzepi nadzieją lepszej przyszłości, opowiadając swoje przygody łowieckie. Ktoż z nas nie pamięta Garczyńskiego z ostatnich dni jego życia?...

Płakać się chciało, widząc jego stan. A on... gawędził, jak zwykle o łowiectwie, o swojej pracy, której nie zdążył dokończyć, snuł projekty na przyszłość.

Trzy lata męczyła go choroba, aż wreszcie w lutym 1944 r. Duch Jego uleciał w krainę wiecznych łowów.

Dnia 16 lutego 1944 r. w czasie okupacji, żegnaliśmy kochanego redaktora, śp. Walentego Garczyńskiego, składając jego ciało do ziemi na Powązkach. A nad jego grobem w imieniu Rady Naczelnej i nas wszystkich przemówił kol. Jerzy Dylewski. Mówił ciepło, zwięźle, ale nie wszystko mógł powiedzieć co chciał, bo któż wiedział, czy wśród zebranych nad mogiłą nie stał konfident gestapo. Nie mógł mówca wyrazić żalu, że Zmarły nie doczekał chwili wyzwolenia Ojczyzny, chwili odrodzenia łowiectwa polskiego i obiecać Mu, że pamięć o Nim nigdy nie wygaśnie, że pamiętać o Nim będą wszyscy, którzy z Nim pracowali i pamięć o Nim przekażą następnym pokoleniom.



Walenty Włodzimierz Garczyński

Restytuowany po wojnie Polski Związek Łowiecki uczcił pamięć Zmarłego, nadając jednej z sal lokalu PZŁ nazwę „Imienia śp. Walentego Garczyńskiego"; postanowiono też wydać niedokończoną Jego pracę pt. „Nowoczesne łowiectwo".

Wierzę głęboko, że na zebraniach w naszym lokalu przebywa nieraz Duch Jego, a gdy o Nim wspominamy, widzimy Jego zgarbioną, charakterystyczną sylwetkę i uśmiech pobłażania, który nie schodził z Jego twarzy.

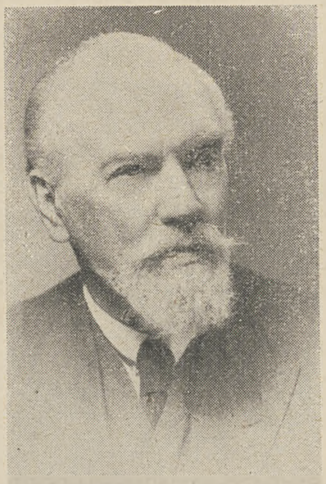
O Garczyńskim nie sposób zapomnieć. Był zbyt silną i wielką indywidualnością, wyrósł ponad swych kolegów z Komitetu Redakcyjnego i Wydziału Wykonawczego. Nie sposób o Nim zapomnieć, zbyt gorące i wielkie miał serce, które ukochało nie tylko bory i puszcze, zwierzęta i ptaki, ale też cały świat łowiecki; miał serce pozbawione zawiści i goryczy, a przepełnione jedną wielką, jasną i pogodną miłością wszystkiego i wszystkich.

Takim był Walenty Włodzimierz Garczyński, wielki nauczyciel łowiectwa.

PROFESOR JÓZEF GIEYSZTOR

Ciężkie brzemię przyjmował na siebie prof. Gieysztor, gdy w roku 1945 obejmował redakcję Biuletynu Polskiego Związku Łowieckiego, a potem w r. 1946 redakcję Łowca Polskego. Trudne to było zadanie z dwóch względów. Przede wszystkim składały się na to niezwykle ciężkie warunki redagowania pisma w okresie powojennym wobec zupełnego braku źródeł bibliotecznych i rozprzężenia myśliwych-pisarzy. Poza tym, przejmując redakcję po tak świetnych poprzednikach, nie mógł nowy redaktor dopuścić do obniżenia poziomu Łowca Polskiego.

Prof. Gieysztor stanął na wysokości zadania. Łowiec Polski spełnia nadal rolę, jaką mu założyciele tego pisma wyznaczyli.



Józef Gieysztor

Józef Gieysztor urodził się w r. 1865 w guberni permskiej, gdzie przebywali jego rodzice na wygnaniu po Powstaniu 1863 r. W roku 1885 ukończył gimnazjum w Mariampolu i zapisał się na Wydział Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Po roku studiów wstąpił na Wydział Przyrodniczy Uniwersytetu Petersburskiego, który ukończył w roku 1890.

Już w tym okresie Gieysztor wykazywał zainteresowanie pracą redaktorską. Najpierw objął sekretariat redakcji „Słownika Encyklopedycznego Brockhausa i Efrona“, potem był członkiem Komitetu Wydawniczego im. T. T. Jeża, wreszcie w r. 1895 objął kierownictwo działu ekonomicznego petersburskiego tygodnika „Kraj“, współpracując ponadto w pismach warszawskich (Gazeta Rolnicza, Przegląd Tygodniowy).

Równocześnie pracował zarobkowo w Zarządzie Kolei Państwowych, w Towarzystwie Kolei Wschodnio - Chińskiej, w zarządzie Żeglugi Wschodnio-Azjatyckiej, w Towarzystwie Rosyjsko - Japońskim, reprezentując ponadto w stolicy państwa Radę Zjazdów Górniczych Królestwa Polskiego.

Piastując różne stanowiska w wymienionych instytucjach, odbywał prof. Gieysztor liczne podróże na bliski i daleki wschód. Z podróży tych przywoził nowe wiadomości z dziedziny przyrodoznawstwa, które go żywo interesowały, a niejednokrotnie brał udział w łowach na egzotycznego zwierza, rozmiłowując się coraz bardziej w łowiectwie.

Ale na tym nie koniec. Niesłychanie żywe usposobienie prof. Gieysztora nie pozwala mu zapomnieć o pracy społecznej.

Bierze czynny udział w życiu polskiej kolonii w Petersburgu, będąc członkiem Rady Nadzorczej Polskiej Macierzy Szkolnej, Zarządu Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności, Komitetu „Lutni“ i innych instytucji. W okresie wyborów do Dumy w 1905 r. wchodzi do Komitetu Wyborczego Polskiego i współdziała z Rosyjską Partią Konstytucyjno - Demokratyczną.

W 1917 r. powstaje z inicjatywy prof. Gieysztora Komisja Ekonomiczna, która przekształcona z czasem na Naradę Ekonomiczną i Rozrachunkową, pracuje pod egidą Komisji Likwidacyjnej, powołanej przez rząd Kiereńskiego dla likwidacji stosunków między Rosją a Polską. W naradzie tej prof. Gieysztor zajął stanowisko wiceprezesa.

W sierpniu 1918 r. wraca do Warszawy, gdzie przystępuje do prac w Sekcji Kolejowej przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu, w charakterze naczelnika wydziału a następnie wicedyrektora Departamentu Handlowo - Taryfowego Ministerstwa Komunikacji — organizując kolejnictwo polskie. Z końcem 1930 roku przechodzi w stan spoczynku.

Od 1920 r. prowadzi na Politechnice Warszawskiej wykłady „Eksploatacji handlowej kolei żelaznych“. Wykłady te przerywa w 1936 r., nie mogąc pogodzić się z brutalnymi wystąpieniami antyżydowskimi. Od 1927 r. do 1939 r. wykłada w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie „Prawo kolejowe i taryfy“.

Prof. Gieysztor w czasie swego długiego, pełnego wytężonej pracy życia, nie zapomina też o pracy w Polskim Związku Łowieckim. Jest od 1925 r. członkiem Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego oraz szeregu komisji Związku, w 1937 r. zostaje przewodniczącym Komitetu Wykonawczego. W czasie okupacji pracuje w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO), nie przerywając prac w konspiracyjnej Radzie Naczelnej PZŁ.

Koniec wojny zastaje prof. Gieysztora w Milanówku pod Warszawą. Na pierwszą wieść o powołaniu do życia Polskiego Związku Łowieckiego prof. Gieysztor z młodzieńczą energią staje do pracy, obejmując przewodnictwo Komitetu Wykonawczego, kierownictwo biura Związku i redakcję Biuletynu.

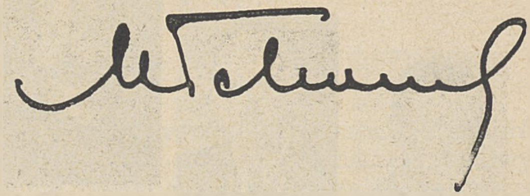
W listopadzie 1945 r. zostaje wiceprezesem Związku, a w maju 1946 r. Kapituła Odznaczeń Łowieckich nadaje mu najwyższe odznaczenie łowieckie — „Złom“. Wreszcie w roku 1947 Walne Zgromadzenie Związku nadaje mu w dowód uznania za pracę nad podniesieniem łowiectwa w Polsce — godność członka honorowego.

Od 1945 r. do 1948 r. prof. Gieysztor wykłada równocześnie „Łowiectwo“ w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Ten krótki a bogaty w zasługi życiorys prof. Gieysztora nie wyczerpuje wszystkiego, co możnaby powiedzieć o tym pełnym osobistego uroku nestorze łowiectwa polskiego. Podziwu godna żywotność i ener-

gia osiemdziesięcio - czteroletnego redaktora Łowca Polskiego, pozwala mu na niesłabnące, czynne zainteresowanie się sprawami łowieckimi, redagowanie Łowca Polskiego, nieopuszczanie żadnych zebrań związkowych.

Niechaj postać prof. Gieysztora będzie dla wielu działaczy Polskiego Związku Łowieckiego wzorem jak należy pracować, z jakim sercem oddawać się tej pracy, która powinna być ukochaniem każdego miłującego przyrodę myśliwego.



JÓZEF GIEYSZTOR

KOMITETY REDAKCYJNE ŁOWCA POLSKIEGO

Praca redaktora pisma łowieckiego nie jest łatwa. Wymaga ona, obok wyrobienia pisarskiego i pewnych uzdolnień dziennikarskich, nieodzownych dla każdego kierownika pisma, dokładnej znajomości podstaw łowiectwa, jako czynnika kultury ideowej i materialnej oraz myślistwa, jako praktycznego realizatora założeń i wytycznych łowiectwa. Ale łowiectwo jest tak ściśle związane z przyrodą w jej wielorakich przejawach, znajdujących wyraz w budowie terenu, w warunkach klimatycznych, w biocenozie fauny i flory, a myślistwo posiada taką rozmaitość form, zależną od trybu życia zwierząt łownych oraz od techniki wykonywania łowów w danym środowisku, że całkowite opanowanie zespołu wiadomości, potrzebnych dla właściwego ustosunkowania się do wyłaniających się zagadnień, przekracza często zdolności pojedyńczego człowieka.

I to stało się powodem, że do pomocy redaktorom pism łowieckich w tej wielostronnej pracy powoływane są zazwyczaj Komitety Redakcyjne, jako organy kolegialne, grupujące w swoim gronie specjalistów od rozmaitych zagadnień, związanych z łowiectwem i myślistwem.

Jednakowoż powstały one nie odrazu. Pierwszy redaktor śp. Jan Sztolcman, był jednostką tak wybitnie predysponowaną do kierownictwa pisma łowieckiego, dzięki gruntownemu wykształceniu przyrodniczemu, połączonemu z olbrzymią zaprawą łowiecką w rozmaitych częściach świata, że nie odczuwał potrzeby stałej pomocy fachowej, zadawalając się właściwym doborem współpracowników.

Dopiero w 1923 r., kiedy po dziewięcioletniej przerwie w wydawnictwie Łowca Polskiego, spowodowanej wybuchem pierwszej wojny światowej, Julian Ejsmond rozpoczął wydawanie w Warszawie „Przeglądu Myśliwskiego" (przemianowanego w 1924 r. na „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" wskutek zlania się z pokrewnym organem Wielkopolskiego Związku Myśliwych), powołał młody redaktor do pomocy pierwszy Komitet Redakcyjny, w skład którego weszli: generał Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Władysław Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Po ponownym odrodzeniu się w 1924 r. Łowca Polskiego, którego redakcję objął znowu Jan Sztolcman, Komitet Redakcyjny został i tu powołany do życia w składzie następującym: J. Domaniewski. H. Knothe, St. Lilpop, J. hr. Morstin, F. Różycki, Wł. Słonczyński, W. Szperling i K. Świderski, do których następnie przybyli: W. Garczyński, A. Rzewuski, dr St. Zaborowski, prof. E. Niezabitowski, Fr. Unrug, redaktor S. Krzywoszewski, a po zlaniu się 1925 r. Łowca Polskiego z Przeglądem Myśliwskim i Łowiectwem Polskim, czterej członkowie Komitetu Redakcyjnego tego ostatniego pisma weszli też do Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego, a to: J. Błeszyński, Wł. Czerniejewski, J. Gieysztor, Wł. Janta Połczyński.

Odtąd instytucja Komitetu Redakcyjnego nabiera cech stałości a jakkolwiek skład jego ulega nieuniknionym zmianom, to jednak trzon, bo prawie połowa członków, pozostaje ten sam, co uwidocznia zespół ostatniego Komitetu z 1939 r., który stanowili koledzy: K. Czampe, J. Dylewski, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, J. Gryminski, W. Janta Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, M. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B, Przychodźko, A. Rzewuski, J. Skrzypek, K. Świderski, K. Wodzicki, Wł. Zabiełło, J. Żabiński.

Tradycja istnienia Komitetu Redakcyjnego przy Łowcu Polskim zachowana została i po przerwie, wywołanej wybuchem drugiej wojny światowej. W chwili obecnej w skład Komitetu wchodzą, prócz redaktora, następujący koledzy: Z. Korolkiewicz, Z. Kowalski, Z. Klawe, S. Krzywoszewski, M. Mniszek - Tchorznicki, S. Rozwadowski, A. Śliwiński, J. Skrzypek, Z. Zabłocki, H. Zapolski Downar.

Z całej tej plejady myśliwych, najbliżej współpracujących z redakcją Łowca Polskiego w charakterze członków Komitetu Redakcyjnego, najdłuższy „stage" z pozostałych przy życiu wykazują: J. Gieysztor, trwający na tym stanowisku (licząc uczestnictwo w „Przeglądzie Myśliwskim") od 1923 r., a więc — wraz z przerwą wojenną — 26 lat oraz S. Krzywoszewski od 1924 r. do chwili obecnej, czyli 25 lat. Poza tym jeszcze H. Knothe i K. Świderski, pełniący ten obowiązek od 1924 do września 1939 r., czyli przez 15 lat.

O wkładzie wartościowym, który każdy z kilkudziesięciu członków Komitetu wniósł w pracę redakcyjną i pisarską, nie zamierzam pisać, gdyż przekraczało by to ramy krótkiej z konieczności wzmianki dziennikarskiej, ale dla tych starszych kolegów, którzy stykali się bliżej z piśmiennictwem łowieckim oraz z myślistwem, same wymienienie nazwisk wyżej przytoczonych uprzytomnia wagę właściwą ich nosicieli.

O jednym tylko z najstarszych członków Komitetu Redakcyjnego chcę kilka słów osobno napisać, mianowicie o koledze redaktorze Stefanie Krzywoszewskim, obchodzącym właśnie ćwierćwiecze pracy na stanowisku członka Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego.











KOMITET REDAKCYJNY
ŁOWCA POLSKIEGO
w 1949 r.




W środku grupy: przewodniczący Komitetu, redaktor J. Gieysztor, po prawej stronie członkowie: St. Krzywoszewski, J. Skrzypek, A. Śliwiński, H. Zapolski-Downar, Z. Klawe; po lewej: Z. Kowalski, Z. Korolkiewicz, M. Mniszek Tchorznicki, Z. Zabłocki, S. Rozwadowski.

Zamiłowania łowieckie, datujące od lat chłopięcych, były dla jubilata podnietą nie tylko do zużytkowania wolnych chwil na wyczynach myśliwskich w polu, w lesie i na wodach, ale i do dania im wyrazu w piśmie. Jedna z najwcześniejszych nowel S. Krzywoszewskiego „Pan Stachurski" opiera się na motywach łowieckich, w powieści „Pani Jula" intryga romansu zawiązuje się na tle jesiennego polowania z naganką, w komedii „Rusałka" terenem pierwszego aktu jest knieja podczas łowów.

Już po nawiązaniu kontaktu z Łowcem Polskim Krzywoszewski poświęca cały zeszyt 8 z 1924 redagowanego przezeń tygodnika „Świat" myślistwu, zamieszczając 12 artykułów wybitnych pisarzy - kolegów: Z. Bartkiewicza, J. Błeszyńskiego, J. Ejsmonda, M. Ejsmondowej, J. Gieysztora, Wł. Korsaka, E. Krasińskiego, C. Lisowskiego, A. F. Ossendowskiego, Wł. Słończyńskiego.

W 1927 r. firma wydawnicza Gebethner i Wolff wydaje drukiem zbiór nowel i wspomnień S. Krzywoszewskiego pt. „Z wrażeń i przeżyć myśliwskich" — wspaniale ilustrowanych przez Kamila Mackiewicza i cieszących się bardzo dużą poczytnością.

Z chwilą wznowienia po ostatniej wojnie pracy w Komitecie Redakcyjnym Łowca Polskiego, kol. Krzywoszewski poświęca jej dużo uwagi, nie przepuszcza żadnego prawie posiedzenia i służy zawsze swym długoletnim doświadczeniem i talentem pisarskim.

Nic przeto dziwnego, że w grudniu roku ubiegłego kol. S. Krzywoszewski odznaczony został przez Polski Związek Łowiecki najwyższem odznaczeniem, Złomem, za wybitne zasługi na polu literatury łowieckiej, a wśród kolegów zdobył powszechną miłość i uznanie.

J. Gieysztor

Jubileusz Prezesa PZŁ gen. dra Bolesława Szareckiego

W dn. 17 marca rb. przypadła 75-ta rocznica urodzin Prezesa naszego Związku, gen. Dr. B. Szareckiego, oraz 45 lat jego pracy lekarskiej. Obie te rocznice były obchodzone uroczyście zarówno przez sfery wojskowe, jak i przez Polski Związek Łowiecki. Odkładając obszerniejsze sprawozdanie do zeszytu majowego, uważamy za swój obowiązek podnieść już teraz tę okoliczność wobec naszych kolegów, którzy żywią tak gorącą sympatię do swego miłego i tak zasłużonego Prezesa.

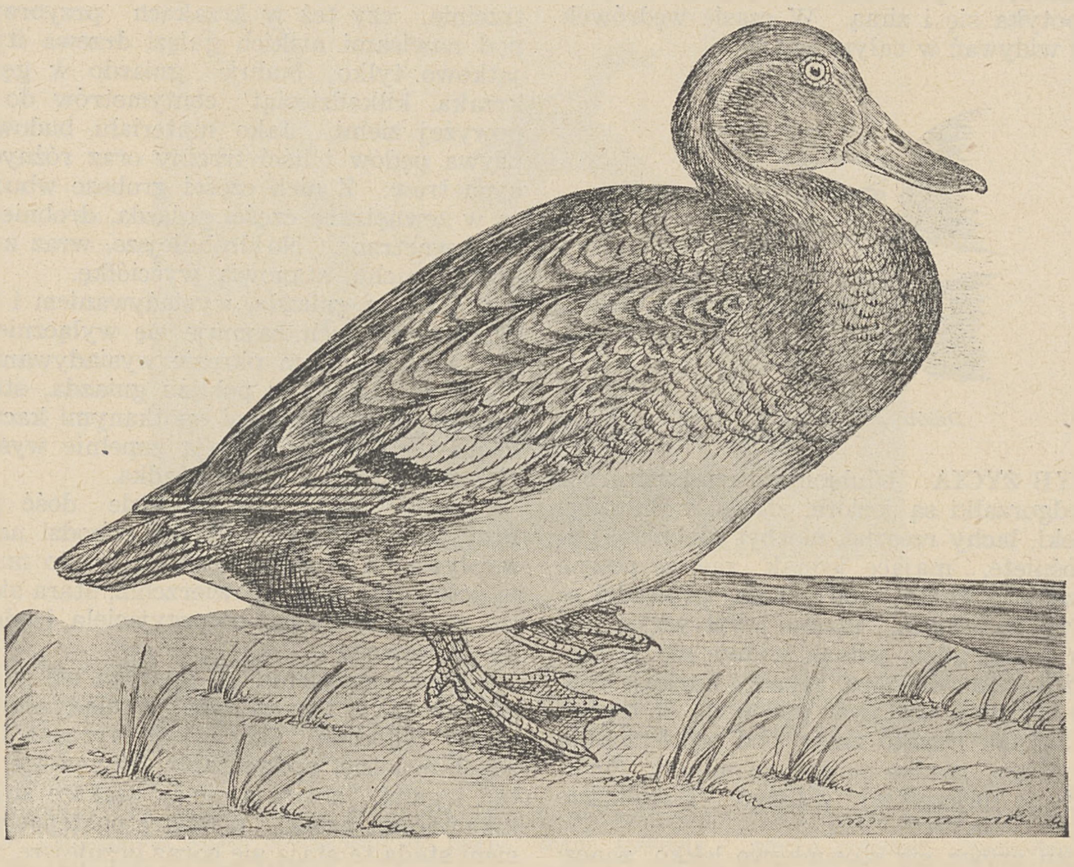
PODGORZAŁKA*)

Nyroca rufa (Linn.)

Synonimy łacińskie: *Anas rufa* Linn., *Anas nyroca* Güld., *Anas rutila* Lat. *Anas africana* Gm. *Anas ferruginea* Gm., *Anas leucophtalmos* Borkh., *Anas leucopsis* Naum. *Nyroca nyroca* 'Güld., *Fuligula leucophtalmos* Borkh.

SYNONIMY POLSKIE: Kaczka białooka, grążyca białooka, kaczka podgorzałka, podgorzałka właściwa.

NAZWY W JĘZYKACH OBCYCH: Angielski: White-Eyed Duck. Francuski: Canard a iris blanc, Fuligule nyroca. Niemiecki: Weissaugenente, Moorente, Braunkopfente. Rosyjski: Nyrok biełogłazyj.



Podgorzałka (Nyroca nyroca)

CECHY ROZPOZNAWCZE. Dziób, jak na rycinie. Od nieco podobnej głowienki łatwa do rozpoznania po białym lusterku.

OPIS. Dziób na całej długości prawie jednakowo szeroki, tylko przed końcem bardzo nieznacznie rozszerzony. Nozdrza blisko nasady dzioba. Paznokieć wąski. Ogon zaokrąglony, złożony z 7 par sterówek. Stary samiec w upierzeniu godowym. Głowa, szyja i pierś rdzawokasztanowate. Na podbródku biała plamka. Płaszcz brunatnoczarniawy z rdzawym upstrzeniem. Na szyi brunatnoczarniawa obrączka, łącząca się z takąż barwą płaszcza. Środek brzucha i pokrywy podogonowe białe. Boki ciała rdzawoszare. Podbrzusze brunatnoszare, białawo lub rdzawożółto popylone. Ogon brunatnoczarniawy. Skrzydła brunatnoczarniawe z białym lusterkiem. Tęczówki białe. Dziób popielatoczarniawy z ciemniejszym końcem. Nogi czarniawe. Upierzenie letnie samca mało się różni od zimowo - wiosennego; tylko głowa i szyja są ciemniejsze, a górna część piersi ciemnobrunatna z rdzawymi obrzeżeniami piórek. Stara samica jest podobna do samca, tylko te części, które u samca są rdzawokasztanowate, u samicy mają odcień brunatnawy i barwa piersi przechodzi stopniowo w barwę brzucha. Ptak młody. Podobny do samicy, ma jednak jeszcze więcej barwy brunatnej i barwy spodu ciała nie są tak czyste. Wierzch ciała czarniawobrunatny z czterema jaśniejszymi plamami. Spód ciała ochrowożółty z brunatnoczarniawymi bokami i podbrzuszem.

Długość skrzydła 17 - 19,5 cm, — ogona

*) Rozdział z przygotowanej do druku pracy prof. J. Domaniewskiego pt. „Ornitologia łowiecka".

5 - 6 cm, — skoku 29 - 32 mm, — dzioba 36 - 43 mm.

Jaja żółtawe, żółtawoszare, niekiedy z odcieniem brunatnym lub zielonawym. Wymiary jaj: 48,4 - 62,8 × 37 - 43 mm. Ilość jaj w zniesieniu: 8 - 14.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. — Gnieździ się począwszy od Hiszpanii i Marokka w kierunku wschodnim po Tybet południowy i Kaszgarię. Zimuje w Europie południowej (sporadycznie już w Europie umiarkowanej), w Afryce i Indiach. W Europie północne granice jej gniazdowania przechodzą przez Belgię, Holandię, Niemcy północne, Polskę północną, a w Rosji przez gubernię smoleńską, moskiewską i kazańską.

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Pospolity ptak gniazdowy, nie wszędzie jednak równie liczny: w niektórych okolicach pospolity, w innych rzadki, jeszcze w innych nie gnieździ się zupełnie. Przylatuje w końcu marca i w kwietniu, odlatuje w październiku. Pojedyncze osobniki spotyka się i zimą. W czasie wędrówek daje się widywać w całym kraju.



Dziób podgorzałki

TRYB ŻYCIA. Ulubionymi miejscami pobytu podgorzałki są jeziora, stawy, wolno płynące rzeki, łachy rzeczne, niezbyt głębokie, gęsto zarośnięte, mające jednak zawsze pewne przestrzenie otwartej wody. Tutaj prowadzi ona skryty tryb życia, rzadko wypływając na otwartą wodę, gdzie jednak widuje się ją częściej niż kaczki właściwe. Pływa i nurkuje znakomicie i może pozostawać pod wodą do dwóch minut. Jednak rzadko znika pod powierzchnią na tak długo, rzadko nawet na minutę. Żerując nurkuje najczęściej zaledwie kilkanaście sekund.

Do lotu zrywa się stosunkowo lekko, znacznie lżej niż inne grążyce. Lata też bardzo dobrze, jakkolwiek ustępuje w tym kaczkom właściwym. Sylwetka jej w locie jest krótsza, bardziej pękata. W locie łatwo ją poznać, wydaje się bowiem z oddali zupełnie czarna, a na tym tle wyraziście odbija biała plama na skrzydle.

Zaskoczona w wodzie szuka często ratunku nie pod wodą, lecz w skrzydłach. Mało ostrożna i niepłochliwa, dopuszcza człowieka bardzo blisko i nie dotrzymuje tylko na zupełnie otwartych przestrzeniach, gdzie jednak zresztą widuje się ją prawie wyłącznie w okresie wędrówek.

Żeruje zarówno w dzień jak i w nocy, głównie jednak w dzień. W przeciwieństwie do większości grążyc pobiera bardzo dużo pokarmu roślinnego.

Głos jej to wysokie krre-krre-krre lub kerr-kerr-kerr, przy czym tony wydawane przez kaczkę są wyższe niż przez kaczora.

Gniazda zakłada na ziemi w pobliżu wody, niekiedy nawet wśród wody na kępach lub spławach. Zawsze jest ono dobrze ukryte czy to w trzcinie, czy też w krzakach przybrzeżnych, pod nawisami niskich gałęzi drzewa itp. Wyjątkowo tylko buduje gniazdo w gęstwinie krzaka, kilkadziesiąt centymetrów do metra powyżej ziemi. Jako materiału budowlanego używa pędów i liści trzciny oraz różnych innych traw. Z nich części grubsze wbudowane są w zewnętrzne części gniazda, drobniejsze — w wewnętrzne. Najdrobniejsze, wraz z pewną ilością puchu, stanowią wyściółkę.

Budową gniazda, wysiadywaniem i wychowaniem młodych zajmuje się wyłącznie samica. W pierwszym okresie wysiadywania samiec trzyma się w pobliżu gniazda, staczając zawzięte boje z innymi spotkanymi kaczorami. Później samce opuszczają zupełnie wysiadujące samice i łączą się w stadka.

Samica siedzi na gnieździe dość twardo. Przy zbliżaniu się człowieka schodzi na wodę, wypływa na otwartą przestrzeń i to nurkując, to pokazując się na powierzchni, stara się zwrócić na siebie uwagę nieprzyjaciela i odciągnąć go od gniazda.

Pełne zniesienia jaj spotyka się w drugiej połowie maja i w czerwcu. Wysiadywanie trwa cztery tygodnie. Gdy młode wyrosną i są już zupełnie lotne, podgorzałki, trzymające się dotąd lęgami, zbierają się w większe stada po kikadziesiąt sztuk. W miarę postępowania jesieni stada te stają się coraz liczniejsze, a przed odlotem dochodzą do setek sztuk w stadzie.

Prof. Janusz Domaniewski



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

MISTERIUM WIOSENNE

Siedzę sam przy ognisku. Jest głucha, ciemna noc. Opodal na posłaniu z gałązek świerkowych chrapie Harasim. Przykrył się kożuchem, futrzaną czapkę naciągnął na ucho i śpi w najlepsze.

Wczoraj późnym wieczorem przyjechałem z Warszawy. Nie miałem czasu na nic. Ledwo wysiadłem z pociągu, musiałem jechać wprost do lasu, aby zdążyć na dzisiejszy ranek. Długa, uciążliwa podróż od stacji do głębi puszczy trwała przeszło trzy godziny. Droga miejscami piaszczysta i pełna korzeni, czasem przechodziła w miejscach bardziej grząskich w stary trakt niemiecki, wyłożony okrąglakami. Zgniły one już dawno, a głębokie wyboje mocno dawały mi się we znaki. Mały, kudłaty konik, z dużą „duhą" nad kłębem, cierpliwie ciągnął chłopski wóz. Powoli szedł przez piasek, powoli wchodził na okrąglaki, powoli właził, chrapiąc, w głębokie dziury zalane wodą. Tylko dzięki jakiemuś nieokreślonemu instynktowi woźnicy i konia zawdzięczam, że wśród ciemni zapadającej nocy nie zbłądziliśmy i po trzech przeszło godzinach obijania boków i pleców na wozie, dobrnęliśmy do miejsca, gdzie miał na mnie czekać gajowy.

Na szczęście w umówionym punkcie połyskiwały widziane z daleka już płomienie rozpalonego ogniska i Harasim czekał z czajnikiem gorącej wody, olbrzymim bochnem razowego chleba i dużym kawałkiem wędzonej słoniny. Dostawa innych artykułów spożywczych należała do mnie. Tak było od dwóch lat.

Po załatwieniu rachunków z woźnicą, który wnet wsiąkł w czerń puszczy wraz ze skrzypiącym swym wozem, zostałem sam z gajowym.

Wkrótce grzałem się przy ognisku, pijąc z blaszanego kubka gorącą herbatę i zagryzając chlebem ze słoniną. Harasim do herbaty dolał sporo „haraku" i głośno siorbiąc, zdawał sprawozdanie z toków. Jego szeleszczący głos rozpływał się bezgłośnie wśród puszczańskiej nocy i tylko trzaskające na ognisku szczapy przerywały ciszę.

— Dwa gra na wyspie — mówił słabą polszczyzną, przeplataną często słowami białoruskimi i rosyjskimi — trzy na Czortowym Rojście, trzy na Iwanowym Moście, dwa na halawkach koło dużego Rojstu. Na jutro to chyba te na wyspie weźniem.

— Tak, i jutro i pojutrze, tylko dwa ranki mam wolne — odpowiedziałem.

— Ot niedobre, a jak nie poszancuje? — kiwał głową.

Długo w noc tak gwarzyliśmy. Wreszcie sen nas zmorzył. Otuleni kożuchami zasnęliśmy na gałęziach świerkowych, których przed tym naciął Harasim. Jak długo spałem — nie wiem. Obudził mnie dojmujący chłód. Wstałem, dorzuciłem gałęzi, nastawiłem imbryk i wpatrzony w buzujące płomienie, myślałem, a raczej marzyłem.

Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata. O czym to ja nie marzyłem. Przeżywałem jakieś przedziwne nieznane tęsknoty, „sny o potędze", tworzyłem sobie świetną przyszłość i wspaniałą karierę, ale nade wszystko zespalałem się coraz silniej z puszczą i przyrodą.

Minęło to wszystko, zostało jednak olbrzymie przywiązanie do kniei i łowiectwa, coraz silniej się rozwijające i będące mi jedyną ostoją i podporą w mym życiu, pełnym trudności i przeciwności. Ukochanie natury, chęć jej poznania, zrodziło się właśnie w takich momentach samotnych rozmyślań, gruntowało się w chwilach emocji łowieckich, aby wreszcie zadecydować o wyborze zawodu i całej przyszłości.

Wśród ciszy puszczańskiej nocy odczuwałem jakiś dziwny fluid, płynący z puszczy i łączący mnie z nią. Jakiś przedziwny nastrój, pełen mistycyzmu ogarniał mnie coraz bardziej. Były to chwile, jakby



Wiosna...

oderwania się od ziemi i przebywania w Nirwanie, chwile głębokich wzruszeń, których kiedy indziej nie potrafiłbym przeżywać.

Ciszę przerwało jakby dalekie trąbienie. To surmy żurawie budziły naturę z nocnego snu.

Nie wiem czy to one zbudziły Harasima, czy instynktem wiedziony sam się zbudził, dość że wkrótce po wypiciu jeszcze jednego kubka herbaty, ruszyliśmy na podchód.

Z początku szło nieźle. Ale wnet weszliśmy na znane myśliwym — kładki. Harasim niósł moją strzelbę, ja uzbrojony byłem w długi kij, służący mi za oparcie. Mimo pomocy kija nie uszedłem i stu kroków, gdy nogaześlizgnęła się z kładki i do gumowego buta zaczęła się przez cholewę wlewać lodowata woda. Od dołu zimno, od góry gorąco, bo z emocji i trudu zlany byłem potem. Wreszcie z pomocą Harasima wyciągnąłem nogę, ale bez buta, który uparcie tkwił w błocie, a wypełniająca go szybko woda, uczyniła go wkrótce niewidocznym. W mokrej skarpetce stałem na kładce, szukając ręką pod powierzchnią wody mego buta. Wydostałem go po chwili a wylawszy wodę, wciągnęłem mokry but z trudem na nogę.

Ruszyliśmy dalej.

Gwiazdy zaczęły blednąć, na wschodzie niebo szarzało. Trzeba się było spieszyć. Łatwiej to powiedzieć, ale trudniej na śliskich kładkach wykonać. Czego jednak nie pokona pasja myśliwska. Po czterdziestominutowej ekwilibrystyce wydostaliśmy się na wyspę.

Zlani potem, oparliśmy się o starą, potężną sosnę i wypoczywając, wsłuchiwaliśmy się w ciszę nocy, łowiąc uchem wszelkie głosy budzącego się dnia.

Coraz jaśniej się robiło, już bekas bębnił gdzieś nad rojstem — a głuszce milczały jak zaklęte.

Wreszcie usłyszałem jakby uderzenie kawałkiem drewna o drewno. Za chwilę drugie, trzecie.

— Hra — szepnął Harasim. Kiwnąłem mu głową.

Piętnaście minut kogut kłapał, ale pieśni nie dawał. Po pełnym naprężenia kwadransie zagrał.

Dałem znak Harasimowi, by został i w trzecią pieśń ruszyłem w pochód.

Wyspa, na której grał głuszec, to małe, suche wzniesienie wśród moczarów, porośnięte karłowatą sosną. Gdzieniegdzie sterczały wysokie pnie starych drzew. Na jednym z nich grał głuszec.

Pieśni jego płynęły teraz jedna za drugą, bez przerw. Skakałem, robiłem po dwa, czasem trzy kroki, zamierałem bez ruchu, znów skakałem, znów zamierałem, aż wreszcie skończyło się podszycie. Na najbliższej wysokiej sośnie grał głuszec. Nie widziałem go jeszcze, ale zdawało mi się, że wprost powietrze wibruje od natężenia głosu śpiewaka, który głosił hymn miłości i piękna, czaru budzącej się wiosny, ekstazy i siły.

Długo wypatrywałem ptaka wśród gęstych igieł sosnowych, gdy on tymczasem siedział na suchej gałęzi, w połowie pnia. Właściwie nie siedział, bo ani chwili nie trwał w bezruchu: wzniósłszy głowę wyciągał w górę szyję i drżał cały z napięcia, to znów prawie kładł ją na gałęzi, to z gracją mitycznego tancerza posuwał się po gałęzi, to znów roztaczał wachlarz i opuszczał skrzydła. Szła pieśń za pieśnią. Zdawało się czasem, że to bohaterski tenor, którego głos rozchodzi się po całej widowni, to znów czuły kochanek, szepcący na ucho swej wybrance najwymyślniejsze komplementy.

Wpatrzony w ptaka, nie mogłem zdecydować się na strzał. A może ogarnął mnie nastrój niezrozumiałego sentymentalizmu i pozbawiał możności logicznego rozumowania, bo jeśli człowiek jedzie na polowanie na zwierzynę — powinien strzelać a nie bawić się w nastroje. Ale to coś, co w takich chwilach ogarnia człowieka jest tak silne, że nic nie pomoże rozumowanie. Myśliwy odsuwa chwilę strzału, wciąż syci oczy i uszy pięknem nieskażonej cywilizacją przyrody, a w serce jego wlewa się cudowny spokój, niosący otuchę i prawdziwą pogodę ducha.

Podchodziłem głuszca od zachodu, by zobaczyć go na tle jaśniejącego, wschodniego nieba. Zawsze staram się tak podchodzić koguty, lecz nie zawsze mi się to udawało. Tym razem teren mi to ułatwił.

Widziałem teraz ptaka na tle wschodzącej, czerwonej kuli słońca. Grał wciąż, ale robił już przerwy między pieśniami, jakby nasłuchiwał czy nie wołają go oblubienice.

Wreszcie, gdy dzień był prawie zupełny, cicho spłynął z drzewa i wkrótce znikł mi z oczu.

Usiadłem, zmęczony przeżyciem, na kłodzie zwalonej sosny. Nie żałowałem, że nie strzeliłem. Odleciał niespłoszony, jutro znów grać będzie i wtedy go zdobędę.

Znów bębnił gdzieś wysoko bekas, z daleka dochodziło bulgotanie cietrzewi.

Trzasnęła gałązka. To nadchodził Harasim. Już z daleka wzrokiem pytał, dlaczego nie strzelałem.

— Jutro go strzelę — odpowiedziałem głośno.

— Tak, jutro go weźmiem, sławny on śpiewak, pora na niego — szeleścił swym szeptem gajowy, u którego moje zachowanie znalazło zrozumienie.

Przebywszy znów z trudnością kładki, wkrótce byliśmy przy ognisku. Znów herbata i chleb ze słoniną, chwila wpatrzenia się w płomienie i wnet zmęczony zasnąłem na swym legowisku. Harasim w tym czasie poszedł do odległej o 8 kilometrów gajówki, skąd miał przynieść mleka i rosyjski pierog, z którego umiejętności robienia słynęła jego żona. Wszyscy myśliwi, polujący u Harasima, nie mogli się dość nachwalić tej potrawy.

Minęło już południe, już słońce przekroczyło zenit, gdy się obudziłem. Harasim rozpalał ognisko, które w tym czasie zgasło zupełnie.

Po solidnym posiłku wybraliśmy się na kaczorki, które spotkać było można na wszystkich bagienkach w lesie.

Trudne to strzały, gdyż ostrożne kaczory zrywają się daleko i śmigają wśród drzew. Tym większa przyjemność, gdy strąci się zielonogłowego kaczora krzyżowego lub ostrolotnego cyraniecza. Czasem spod nóg wyrwie się długodzioba słonka i chybotliwym lotem zniknie wśród drzew, nie wiedząc, że w tej chwili nic jej nie grozi od prawidłowego myśliwego, który wiosną strzela tajemnicze te ptaki tylko na ciągu.

O szóstej byliśmy znów na wyspie na zapadach. Przytuleni do sosny, wsłuchiwaliśmy się wraz z Harasimem w głosy ptaków. Gwizdał kos wśród szeleszczących, zeschłych liści na czubku brzozy, z charakterystycznym kwileniem przelatywał z drzewa na drzewo czarny dzięcioł, podczas gdy jego krewniak, dzięcioł pstry średni, kuł zapamiętale z taką siłą gałąź sosny, pod którą staliśmy, że kawałki kory i próchna sypały się nam na głowę.

Z dalekiego boru słychać było chichot sowy, a gdy cienie stawały się coraz dłuższe — bulgot cietrzewi uderzył w nasze uszy.

Powoli dzień się kończył. Zachodzące czerwone słońce świadczyło, że pogoda na dzień następny będzie wietrzna. Niedobry to na tokach prognostyk. Czubki drzew z zielonych i brunatnych różowiały, przechodziły w złoty odcień w zależności od tonacji kolorów promieni słonecznych, stawały się fioletowe, by wreszcie w półmroku stać się szarymi.

Wtem na sosnę, opodal stojącą, z łomotem wielkich skrzydeł zapadł głuszec. Chwilę siedział spokojnie, potem zleciał na drugą gałąź, skubnął kilka igieł sosnowych i zakrektał.

— Dobre, będą grać — szepnął mi do ucha Harasim.

Za chwilę drugi kogut zapadł na inne drzewo. Ten przesiadał się trzy razy.

Ciemno było zupełnie, gdyśmy wreszcie zdecydowali się wrócić do ogniska. Jak duchy stąpaliśmy wśród nocy, rozświetlonej małym tylko rąbkiem półksiężyca i miriadem gwiazd.

Na drugi dzień strzał zmącił ciszę poranka i przeciął nić życia trubadura puszczy. Nie dośpiewał swej ostatniej pieśni o życiu i miłości, bo człowiek wtargnął brutalną ręką w ciszę natury i życie przyrody.

Mieczysław Mniszek Tchorznicki

LEON POPŁAWSKI

O HODOWLI KREKUCH

Krekuchą zwiemy kaczkę z upierzenia i budowy bardzo przypominającą dziką kaczkę krzyżówkę, a która służy do polowania wiosną na kaczory. Krekuchy wywodzą się z Polesia, gdzie żyją u miejscowych chłopów w stanie dosyć zbliżonym do pierwotnego, hodowane na pół dziko. Przez większą część roku odżywiają się własnym przemysłem, lęgną się też często na swobodzie i dopiero kiedy nieubłagana zima skuje lodem wody, krekuchy wracają na stałe do gospodarskiego obejścia, znajdując w jakimś chlewiku osłonę przed zimą oraz pożywienie, którego nie mogą im już dostarczyć naturalne żerowiska. Słowem, jest to pierwotna rasa kaczek, stosunkowo niedawno udomowiona i na skutek tego mało odbiegająca od swego prototypu, tj. miejscowej dzikiej kaczki.

Polowanie na kaczory z krekuchą odbywa się wiosną, kiedy dzikie kaczki siedzą już na jajkach. Kaczory osamotnione nagle po okresie godów, nie mogą pogodzić się od razu z narzuconym im żywotem starokawalerskim, który u zwierząt jest pewno równie przykry jak i u ludzi, a może nawet i przykrzejszy, bo natura nie uznaje u zwierząt ułatwień, będących wytworem cywilizacji ludzkiej.

Toteż biedne kaczory, podniecone rozkosznymi wspomnieniami niedawnych szaleństw, szukają swych miłosnych towarzyszek i w tym okresie chętnie reagują na zew kaczek.

Myśliwy wykorzystuje ten stan rzeczy dla polowania z krekuchą. Odbywa się ono, w zależności od terenu, z łódki lub też z suchego lądu. Myśliwy, dobrze ukryty, strzela do nadlatujących kaczorów, zwabionych zewem („krykaniem“) krekuchy, która pływa po wodzie, uwiązana za nogę do kamienia lub palika.

W okolicach gdzie dużo jest kaczorów, polowanie to nastręcza wiele miłych emocji myśliwskich i to akurat w okresie, będącym dla myśliwego przeważnie sezonem martwym. Piękno wiosennej przyrody, cudna szata godowa kaczorów, wreszcie trudne na ogół strzały, wszystko to wynagradza z nawiązką kłopoty, związane z tym polowaniem oraz rozkłady ilościowo skromniejsze od letnich polowań na lęgowe kaczki lub od polowań jesienią na przelotach. Warunkiem udawania się polowań z krekuchą jest jednak — poza oczywiście obecnością kaczorów w łowisku i wyborem odpowiedniego miejsca i czasu — przede wszystkim jakość posiadanej krekuchy.

Pierwszym i podstawowym warunkiem tego, aby krekucha należycie spełniała swą rolę wabienia kaczorów, jest uprzednie trzymanie jej w ścisłej izolacji, celem uniemożliwienia jej parzenia się. Jest bowiem rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż krekucha, która nie parzyła się jeszcze w danym roku na skutek przymusowego odseparowania, skoro tylko nagle znajduje się w swoim żywiole, na wodzie, w obliczu natury, odczuwa zew krwi i wabi kaczory głosem namiętnym, pełnym pożądania, głosem, któremu one oprzeć się nie będą mogły.

Natomiast krekucha, wzięta prosto ze stada i zaniesiona w obce dla niej miejsce, z dala od swych bliskich, może nawet od zwykle dobrze ukrytego gniazda z jajami, będzie źle się czuła i albo — co najczęściej się zdarza — nie będzie się wcale odzywała lub też odzywać się będzie w sposób cichy i nieśmiały, czasem żałosny. Kto wie czy nie będzie nam ona po swojemu wprost wymyślać, urągając swemu losowi, boć nie znamy przecież kaczej mowy... Kaczory natomiast ją niewątpliwie rozumieją i rezultat takiego polowania będzie znikomy. Kaczory nie pojawią się wcale albo też omijać będą z daleka pokwakującą żałośnie krekuchę.

Niezależnie jednak od momentu uprzedniego, ścisłego odseparowania krekuchy od stada, na należyte spełnianie przez nią roli kobiety - wampa, prowadzącego do zguby namiętne kaczory, wpływa jeszcze szereg innych okoliczności. Niewątpliwie gra tu rolę wiek kaczki, gdyż stara krekucha z reguły lepiej „kryka“ od młodej. Dalej ważne jest umiejętne obchodzenie się z krekuchą, częste używanie jej, co wpływa na oswojenie się jej z człowiekiem, ze strzałami itd. Poza tym przyznać jednak należy, iż krekuchy mają też własną indywidualność, której nie sposób dokładnie ocenić ludzkimi kategoriami myśli. Po prostu jedne dobrze „krykają“, inne źle; może te pierwsze mają w stosunku do kaczorów więcej kaczego sex-apeal'u niż te drugie. I na to my, niestety, wpłynąć nie możemy, iż jedne krekuchy, jak widać, więcej się kaczorom podobają od innych. Szukanie przyczyn tego leży już

poza granicami naszego ludzkiego poznania, a nasze własne, ludzkie doświadczenia każą nam przecież godzić się z tą nieobliczalną często w swych skutkach właściwością wszelkiej płci pięknej.

Na terenie Ziem Odzyskanych mamy wspaniałe łowiska, obfitujące we wszelakiego zwierza. Szczególnie na północy, na Mazurach, mamy, między innymi, moc kaczek. Dlatego też polowanie z krekuchą winno doczekać się obecnie nie tylko wznowienia, ale i upowszechnienia. Jednakże, niestety, nie posiadamy obecnie krekuch. Stąd postulat zaprowadzenia ich hodowli.

Piszący te słowa prowadził przed wojną, na terenie wolierowej bażantarni, ubocznie, również i hodowlę krekuch, więc pragnie podzielić się z Czytelnikami Łowca Polskiego swymi spostrzeżeniami z tej mało u nas znanej dziedziny hodowli.

Hodowlę właściwych krekuch, w prowadzonej przeze mnie bażantarni, poprzedziła zupełnie przypadkowo zaprowadzona hodowla tzw. „kaczek ogrodowych". Nazwą tą określają myśliwi z byłego zaboru pruskiego odmianę na poły oswojonych kaczek, również wyglądem bardzo zbliżonych do dzikich kaczek krzyżówek, tylko od nich z reguły trochę mniejszych. Kaczki te hoduje się jako ptactwo ozdobne, parkowe. Z punktu widzenia łowieckiego grają one wśród kaczek rolę podobną do roli parkowych danieli wśród zwierzyny płowej. W każdym razie są one lotne i dlatego, zbierając ich jajka i wylęgując je pod kurami, można podhodowanymi młodymi zasilać kacze rewiry, aby uzyskiwać większe rezultaty cyfrowe na polowaniach.

W 1935 r. wyczytałem w „Łowcu" ogłoszenie, iż zarząd majątku Spławie, poczta Bojanowo Stare, województwo poznańskie, sprzedaje po cenie, zdaje się, 50 groszy sztuka, jaja „kaczek ogrodowych" (Hochflugenten). Zaciekawiony tą obiecującą niemiecką nazwą, oznaczającą w przekładzie na język polski mniej więcej tyle co „wysoko latające kaczki", zamówiłem 30 jaj. Wylęgło się z nich dwadzieścia parę sztuk kacząt, które na jesieni wykazały całą gamę różnic w upierzeniu. Kilka sztuk było bowiem zupełnie prawidłowej barwy, łudząco podobnych do krzyżówek. Inne natomiast oznaczały się większymi lub mniejszymi białymi plamami, aż do sztuk zupełnie łaciatych, co wskazywało na wyraźną u nich domieszkę krwi kaczek domowych. Było też parę egzemplarzy prawie zupełnie białych, ozdobionych jednak czarnymi plamami koło oczu oraz paru ciemnymi lotkami. Wszystkie kaczki były lotne i latały chętnie na sąsiednie stawy a nawet i pola, a w miarę zbliżającej się zimy coraz to częściej zapadały wieczorem na podwórko, na którym spacerował drób domowy. Z czasem dawały się bez trudu zapędzać z nim na noc do kurnika.

Jesienią tego roku odstrzeliłem z małokalibrowej broni parę gorzej upierzonych (zbyt łaciatych) sztuk, kilka sztuk biało-czarnych wymieniłem w Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie na prawidłowo upierzone kaczki, zwane tam krekuchami. W następnym roku dostałem od znajomych z Polesia parę sztuk autentycznych krekuch, nie różniących się na zewnątrz niczym, zarówno od prawidłowo upierzonych kaczek „ogrodowych", importowanych ze Spławia, jak i od egzemplarzy uzyskanych z wymiany w Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie. Muszę zaznaczyć jednak, iż nie przeprowadzałem ścisłych pomiarów poszczególnych sztuk kaczek.



Krekucha i jej zalotnicy *fot. Z. Kowalski*

Z biegiem lat stadko kaczek na ogół powiększyło się, przechodząc jednak różne koleje. Wiosną podbierałem jajka z gniazd, ukrytych przeważnie po krzakach, robiąc to stopniowo, aby nie zniechęcać kaczki i przedłużyć tylko w ten sposób okres jej nieśności, uzyskując w konsekwencji większą ilość jaj. Podebrane jaja podkładałem pod kury; wylęgnięte młode wypuszczałem po odrośnięciu na staw, gdzie szybko dawały sobie same radę. Jesienią przeprowadzałem selekcyjny odstrzał sztuk nieprawidłowo upierzonych oraz rozpoczynałem podkarmianie kaczek.

Jako teren hodowli służyły mnie 3 stawy rybne, o ogólnej powierzchni około pięciu hektarów, połączone z sobą rowami. Dramat rozpoczynał się dopiero późną jesienią, kiedy to, z uwagi na konieczny odłów ryb, trza było stawy spuścić, a silniejsze mrozy powodowały kompletny brak wody w rowach. Wtedy część kaczek przenosiła się na rzekę, odległą o 3 kilometry i te z reguły dla mnie przepadały. Że dawały one sobie tam jakoś radę, świadczy fakt, iż kilkakrotnie myśliwi, polujący na oddalonych o kilkanaście kilometrów stawach, zabijali tam kaczki, posiadające białe obroże na szyi (takie egzemplarze w mej hodowli tolerowa-

łem), albo noszące na nogach obrączki (sztukom, wyhodowanym z podebranych jaj, nakładałem specjalne obrączki).

Nauczony parokrotnymi smutnymi doświadczeniami, iż z nadejściem mrozów traciłem ogromną większość wyhodowanych kaczek, począłem w latach następnych przystępować zawczasu do odłowu przynajmniej ich części, wybierając znowu sztuki prawidłowo upierzone, bowiem stale walczyłem z odbijającym się w upierzeniu kaczek (pochodzących ze Spławia) wpływem domieszki krwi białych, domowych kaczek.

Odłowu kaczek dokonywałem bez trudu, tak zwaną „ramą", tj. siatką, luźno rozwieszoną na ramie, sporządzonej ze zbitych ze sobą okrąglaków. „Rama" podparta jest kijkiem, na skutek czego tworzy z powierzchnią ziemi kąt o nachyleniu 30 — 40 stopni. Pod „ramą" ustawia się korytko z paszą i tam się regularnie kaczki podkarmia. Uczepiwszy sznurek do kijka, podpierającego „ramę", można szarpnięciem wyrwać go i nakryć w ten sposób siatką kaczki, żerujące przy korytku.

Odłowionym kaczkom obcinałem lotki u jednego skrzydła, pozbawiając je w ten sposób na pewien czas możności latania; najczęściej pozostawiałem je nadal na wolności. Z chwilą nadejścia większych mrozów zgłaszały się one same do podwórka, przymuszone do tego brakiem paszy i przede wszystkim wody, i wkrótce przyzwyczajały się do spędzania w zagrodzie nocy, a w okresie bardzo silnych mrozów nawet i większej części dnia.

Jak zaznaczyłem na wstępie, hodowlę mych kaczek rozpocząłem zupełnie przypadkowo, a prowadziłem ją tylko z amatorstwa, z upodobania do chowania wszystkiego co żyje. Teren powiatu garwolińskiego nie jest bowiem zbyt obfitujący w dzikie kaczki, szczególnie ta jego część, gdzie prowadziłem bażantarnię a przy niej ubocznie hodowlę kaczek. Pracując do tego zarobkowo w Warszawie, nie dysponowałem zbyt obficie wolnym czasem, aby móc wiele polować wiosną na bardzo nieliczne kaczory w tej okolicy.

Robiłem jednak przez ostatnie parę lat przed wojną próby z moimi kaczkami, zamykając w tym celu co roku do woliery parę sztuk, aby zapobiec ich parzeniu się, co jest — jak wyżej wspomniałem — kardynalnym warunkiem tego, aby krekucha dobrze wabiła. Przez ciekawość dobierałem przy tym kaczki różnego pochodzenia, aby móc je wypróbować w robocie. Kaczorów zabiłem niewiele, ale głównie dlatego, iż mało było ich w łowisku.

Krekuchy moje spisywały się różnie. Muszę jednak stwierdzić, iż zarówno wśród autentycznych krekuch, jak pochodzących ze Spławia oraz z warszawskiego Zoologu, były takie kaczki, które wabiły doskonale, jak również i takie, które źle to robiły lub nawet głucho i z uporem milczały. W każdym bądź razie nie doszedłem bynajmniej do przekonania o wyższości pod tym względem krekuch, importowanych z Polesia, nad kaczkami, pochodzącymi z poznańskiego czy też z Ogrodu Zoologicznego w Warszawie.

I to właśnie skłoniło mnie do napisania tego artykułu.

Nie wiem czy „kaczki ogrodowe" przetrwały w Spławiu ostatnią zawieruchę wojenną. Przypuszczam jednak, iż można gdzieś na terenie Rzeczypospolitej odnaleźć parę sztuk tych kaczek, chociażby nie chowanych już w czystości krwi. Z praktyki własnej wiem, iż spowodowane tym drobne różnice w upierzeniu kaczek (z reguły objawiające się białymi piórkami koło szyi i białymi lotkami), nie pozbawiają ich przez to cech krekuchy, byleby tylko dobrze wabiły. Hodowla krekuch jest nader łatwa i tania, gdyż przez większą część roku żywią się same, byleby tylko miały wodę, która stanowi nieodzowny warunek tej hodowli.

Może więc który z myśliwych, amator hodowli i posiadający warunki po temu, zechce wznowić hodowlę krekuch w Polsce. Rynek zbytu jest na nie zawsze zapewniony i na pewno po opłacalnych cenach. Ale poza stroną materialną będzie on miał zadowolenie z przyczynienia się w pewnej mierze do łowieckiego zagospodarowania obfitujących w kaczki terenów Ziem Odzyskanych. Sam natomiast będzie miał przy tym niewątpliwie sposobność doznania rozkosznych emocji myśliwskich, jakie daje wiosenne polowanie z krekuchą na kaczory.

Leon Popławski

JERZY BŁESZYNSKI

NA TOKACH CIETRZEWICH

Już wiele lat upłynęło, kiedy w połowie kwietnia wesołą, beztroską gromadą wybraliśmy się na toki cietrzewi. Było nas 6 osób: Staś czyli Opiekun, Mietuchna czyli Dziedzic, Edward, Ona i On, czyli małżeństwo i moja osoba, Małym zwana, nie z powodu wzrostu, a z powodu wieku, jako że nie liczyłem sobie więcej jak 8% sumy lat całej kompanii.

Najpierw podróż koleją, potem najętą furką do leśniczówki i koło południa znaleźliśmy się na miejscu.

Pomimo otrzymanej depeszy Bronek nie przygotował budek, ale twierdził, że na rozległych wyrębach, dobrze już zarosłych samosiewem świerka, sosny i brzozy, tokuje dużo cietrzewi.

Po posiłku wybraliśmy się do lasu trochę na zwiady, trochę na przechadzkę. Pogoda była wspaniała, ciepło, niebo bez chmur. Pod wieczór z radością usłyszeliśmy tokującego koguta. Ranek zapowiedział się dobrze. Pomimo powątpiewań towarzyszy stanąłem wieczorem na Dąbrowie nad smugiem, a nuż słonka pociągnie. I rzeczywiście, nie pomyliłem się. Tam, gdzie przed sześciu laty, jako podrostek stawałem ze śp. Ojcem na ciągu, słonka przeciągnęła, i tak jak przed sześciu laty — chybiłem. Ale to nie było ważne, ważniejsze było, że znów mogłem się zatopić w wieczorny koncert leśnych śpiewaków, przerywany czasem ostrym świstem lotek krzyżówki.

Powróciłem do towarzystwa. Nie wierzono, że strze-

łałem do słonki. Staś, czyli Opiekun podrwiwał, że zamiast do słonki strzelałem do nietoperza.

— Niech wam będzie — mruknąłem.

Żona Bronka przygotowała na wieczerzę wspaniałą jajecznicę, z pływającymi gęsto skwarkami, poza tym zapasów mieliśmy mnóstwo, stałych jak i płynnych. W miarę przeciągania się uczty potęgowały się i humory. Było wesoło. Ale wszystko ma swój koniec. Wniosek ułożenia się do snu został przyjęty powszechnie, przy jednym sprzeciwie. Mnie się spać nie chciało i usilnie podtrzymywałem rozmowę na wesoło, to z tym, to z innym z towarzyszy.

Początkowo otrzymywałem w miarę cięte odpowiedzi, próbowano mi złośliwymi powiedzonkami obrzydzić rozmowę. System ten odnosił skutek przeciwny do zamierzonego, gdyż na wesoło odbijałem rzucane mi słowa. Głównie starał się uspokoić mnie Opiekun, potem przyłączył się do akcji uśmierzania Dziedzic. Inna rzecz, że wymiana zdań wywoływała dużo radości u pozostałych. Próbowali przemówić mi i do rozsądku, i do uczucia przyjaźni, i do uczucia gospodarza (prawo polowania należało do mnie), aż wreszcie stary, szczwany lis, Edward, zaproponował „zechcyka"; ograł mnie błyskawicznie i tym mnie uspokoił. Towarzystwo rozłożyło się na kilku snopkach słomy. Z brzegu była Ona, czyli żona, młoda i bardzo przystojna kobieta, potem On, czyli mąż, potem reszta.

O drugiej po północy wyruszyliśmy do lasu. Poleciłem Bronkowi porozstawiać towarzyszy, zalecając ostrożność, aby jeden do drugiego nie kropnął. Ona poszła razem z mężem, ja zaś powędrowałem jak najdalej, w znane mi zakamarki. Przysiadłem pod krzakiem nad większą halizną. Las budził się prawidłowo. A więc najpierw puchacz obwieścił złowrogo, że kończy swe nocne łowy. Potem cichutko odezwał się któryś z leśnych śpiewaków. Kszyk pod niebem zataczał swe koła. Las nabrzmiewał głosami.

Ze świstem przemknął nad głową czarny pocisk i z głośnym łopotem zapadł na haliznę. „Kssss!" Cisza. Wstrzymałem oddech. Jeszcze chwilka ciszy i kogut zaczął grać. Czy jest na strzał? To było dla mnie teraz zagadnienie. Nie mogłem doczekać się brzasku, dygotałem jak w febrze. Ale oto już widzę ciemną plamę na haliźnie; może to pniak? Nie, to nie pniak, widzę białą plamę, to białe pióra pod ogonem. A kogut gra, gra wspaniale, wykonuje wszystkie przepisowe zwroty, podskoki, pięknie czuszyka. Jeden, dwa duże skoki i jest już niedaleko. Nie mam już nerwów na dalsze czekanie. Odgłos strzału wdarł się do rannej symfonii groźnym intermezzem, zwiastując zdobyczną żądzę myśliwego. Syciłem tę żądzę, podnosząc ubitego ptaka. Ochłonąłem i zaraz pasja łowiecka poniosła mię dalej. Na dwustu-hektarowym zrębie wrzało jak w ulu. Ze wszystkich stron dolatywał bełkot cietrzewi, przerywany bojowym czuszykaniem. Zacząłem podchodzić. Nie było to łatwe, gdyż pośród podrostów trudno się było zorientować ile i gdzie grają koguty. Idę na bełkot jednego, spłoszyłem innego, to i tamten uciekł. Słońce wzeszło, skowronki dzwonią pod niebem, niebo bez chmurki, wiatru ani krzty. Cudny, wspaniały ranek kwietniowy.

Przeszedłem za smug i zaczynam podchodzić koguta, grającego wśród niskich sosenek. Najpierw posuwam się schylony, potem na czworakach, wreszcie zaczynam się czołgać. Przysunąłem się na jakich sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kroków, już dalej podchodzić nie sposób. Strzelam. Kogut poderwał się i ciągnie ciężko na wysoki las. Posyłam drugi strzał i kogut złamał się w locie. Uff!! A mogło być niedobrze. Opiekun podchodził tego samego koguta z drugiej strony. Dobrze, że nie naprzeciwko. Pozostali towarzysze nie strzelali, nie mając przekonania do włóczenia się samopas po nieznanym lesie. Ale Ona była



Cietrzewie na toku

niezadowolona. Tyle cietrzewi, a On nie umiał jej pokazać jak tokują.

Trzeba było coś zjeść, omówić wydarzenia, no i trochę pospać, co się całemu towarzystwu słusznie należało.

W południe przechadzka nad leśne jeziorka, bo może gdzie kaczorek nawinie się. Cóż, kiedy woda powysychała, trudno zatem wymagać, aby kaczki siedziały na suchym gwoli naszym wymaganiom.

Wróciliśmy — obiad, drzemka, bridge. Poniosło mnie wieczorem nad smug. Ptaki śpiewały pięknie, ale słonka nie przeciągnęła. Wieczór mija spokojnie. Ona prosi Stasia, aby jej jutro pokazał jak cietrzewie tokują. Układamy się do snu, ale w nieco innym porządko. Ona skarży się, że od drzwi wieje, więc pierwszy z brzegu kładzie się On, czyli mąż, potem Ona, czyli żona, potem Staś, czyli Opiekun, potem Mietuchna, czyli Dziedzic, potem Edward i ja, Mały, pod ścianą.

Znów o drugiej obudził nas Bronek, szklanka gorącej herbaty i wędrujemy do lasu, czarować się wiosennymi misteriami przyrody. Rozeszliśmy się planowo: Ona ze Stasiem, reszta samotnie, każdy w inną stronę. Pomny wczorajszego spotkania idę za smug z mocnym postanowieniem nie przekraczania go przed ukończeniem polowania. Przez smug zaś starsi panowie nie przejdą. Tu jestem bezpieczny.

Znów z brzaskiem rozpoczął się cudny, wiosenny koncert leśny. Wnet rozległ się bełkot cietrzewi. Tok był w pełni. Zwolna posuwam się, jeszcze po ciemku, ku najbliższemu kogutowi. Gra śród sosen i świerków o różnej wysokości. Co kilka kroków przystaję i wypatruję ptaka. Jest już niedaleko, słyszę prawie każde jego poruszenie, ale go dostrzec nie mogę.

Trzasła pod nogą gałązka we mchu schowana. Kogut zerwał się na kilkanaście kroków przede mną i usiadł na wyższym nieco świerku. Prowadziłem za nim i strzelam — śruty gdzieś świsnęły blisko nad nim, więc przysiadł mocniej na świerku — nie czekam i strącam go drugim strzałem.

W chwilę po moich strzałach rozległ się strzał za smugiem. Pewno Staś pokazuje jak się odbywają toki wiosenne. Rozmyślanie, gdzieby teraz poszukać nowej zdobyczy. Za smugiem wnet koguty zaczęły tokować, ale koło mnie była cisza. Siadłem na pniu i pogrążyłem się w kontemplacji. Minęło może pół godziny, może więcej. Znów rozległ się strzał za smugiem a po nim głośny krzyk — krzyk słabł i zacichł... Zerwałem się i pognałem na wprost, nie bacząc na zdradliwe, pełne wody mchy smugu. Po kilkuset metrach ukazał mi się widok, który wciąż mam i będę miał pewno długo jeszcze przed oczyma: na wrzosach leży Staś, czyli Opiekun, twarzą do ziemi, plecy z przyległościami obnażone i zakrwawione, Ona, czyli żona, obok w krzaku ściąga koszulę na opatrunek, On, czyli mąż, trzyma się oburącz za głowę i biega wokół Stasia, jakby miał kręćka, a Edward i Mietuchna, oparci o dubeltówki, stoją obok z przedziwnym wyrazem twarzy. Poprzez lęk o przyjaciela jakiś szelmowski grymas czai się w ich oczach. I ja doznaję tego uczucia. On podbiegł ku mnie i woła:

— Nieszczęście, postrzeliłem pana Stanisława; strzelałem do lecącego koguta i akurat trafiłem sąsiada.

Oglądamy ranę. Siedemnaście śrucin pocięło na sito najszerszą część spodni, ale dwie tkwią w okolicy nerek. Hm! Bandażujemy rany koszulą, którą Ona poświęciła. Bierzemy Stasia na ręce i powoli poszliśmy ku niedalekiej gajówce. Ułożyliśmy rannego na piernatach w trochę niewygodnej pozycji, gdyż twarzą do poduszek. On najął konie i pojechał do sąsiedniego miasteczka telefonować o przysłanie samochodu, który co prawda nie mógł dojechać aż na miejsce, ale tylko do stacji, odległej o pół godziny jazdy koleją. Zatem On pojechał, a myśmy, siedząc nad Stasiem, wypytywali jego i ją o szczegóły. Staś trochę jęczał, ale nie umierał, co przyjęliśmy z ulgą za pomyślną oznakę.

Według zgodnych zeznań, że żaden kogut nie leciał, a Staś właśnie na czworakach podchodził do grającego na ziemi koguta, stwierdziliśmy, że strzał był oddany celnie na jakieś osiemdziesiąt kroków, i że toki się właściwie doskonale udały, bo mieliśmy na rozkładzie cztery koguty i piątego Stasia, wobec czego trzeba się napić uroczyście: bo albo Staś nie przetrzyma i wtedy możemy traktować całą sprawę jako stypę pogrzebową, albo mu to przejdzie, czyli możemy co drugi kieliszek pić radośnie. Staś, słysząc nasze rozważania, stękając, jął nam lekko złorzeczyć, zwłaszcza, że nie chcieliśmy mu udzielić ani jednego kieliszka, aby nie osłabiać działalności serca i tak, według naszych tajemnych myśli, mocno zmęczonego. Staś zmienił system i jęk złorzeczący przemienił na lament rozczulający. Nie wytrzymaliśmy i dostał trochę nalewki na pocieszenie.

On nie wracał, do pociągu było jeszcze dużo czasu, więc siedliśmy do kart. Były trudności, bo Edward nie grał bridge'a, tylko w preferansa, a Ona znowu na odwrót. Staś dosłyszał nasze szepty i jęknął cichutko:

— Zagram z wami.

A no, czego się nie robi dla czwartego. Ułożyliśmy pierzyny możliwie wygodnie i Stasio, rozgrywając wnet cztery bez atu z rekontrą, zapomniał o ranach, natomiast sklął mnie potężnie za lekkomyślną licytację. Podniosłem głowę i ugryzłem się w język, aby nie parsknąć śmiechem; nad nami stał On i patrzał szeroko otwartymi oczami na kandydata do wieczności, rozgrywającego cztery bez atu z rekontrą i besztającego mnie według przyjętych przez Stasia starych, wypróbowanych metod.

Powrót był pełen przygód, gdyż przysłane samochody psuły się co chwila i niespełna sto dwadzieścia kilometrów jechaliśmy coś dwanaście godzin.

Długo, długo wspominaliśmy wiosenną wyprawę, zwłaszcza na częstych śniadaniach u kochanego Stasia. Gdy humory były dobre, Staś przynosił pamiątkowe ineksprimable i liczył otwory.

Toki wiosenne udały się.

Ale to było dawno, bardzo dawno, już tylko nas dwóch z całej kompanii zostało: Mietuchna, czyli Dziedzic i ja, którego wtedy Małym zwano.

Jerzy Bleszyński

JERZY OŚWIECIMSKI

GŁUSZCZOWE KLĘSKI I TRIUMFY

(Z pamiętnika myśliwskiego)

1. PIEŚŃ KRÓLEWSKIEGO PTAKA

Od kolegi z ławy szkolnej otrzymałem pozwolenie zapolowania w jego lasach, w sąsiedztwie Chodorówki, na głuszce.

Głuszce... Znałem je tylko z opowiadań Ojca, lektury „Roku Myśliwego" i monografii Świętorzeckiego. Teorię przestudiowałem lepiej niż którykolwiek z przedmiotów na uniwersytecie, ale w praktyce widziałem głuszca tylko wypchanego.

Cóż więc dziwnego, że po przyjeździe do Chodorówki skomunikowałem się zaraz z nadleśniczym lasów mego kolegi i pewnego popołudnia zawitałem do wsi Hryniewszczyzny, gdzie mieszkał stary gajowy Leszkowicz, majster od głuszców. Od Chodorówki było wszystkiego sześć kilometrów.

Leszkowicz wziął kij do ręki i poszliśmy na podsłuchy.

Droga — jak wiadomo na głuszce. Chata Leszkowicza stała na skraju wsi, szło się jednak trochę wzdłuż wioski a potem wpoprzek przez łąkę, w kierunku lasu. Tu dopiero zaczynała się frajda. Łąka była dobrze podmokła i grząska, tak że nietrudno było zapaść się powyżej kolan Trzeba więc umiejętnie skakać z kępy na kępę; zrobiło się dobrze gorąco. Za łąką zaczynał się las, a raczej błoto i mchy porosłe błotną, karłowatą sosną i trzcinami. Leszkowicz nazywał to „dzicz", bo rzeczywiście wygląd był dziki i tajemniczy, cisza zaś panowała zupełna. Szliśmy drogą, a właściwie pasem czarnej torfiastej ziemi, wijącym się wśród podmokłych kęp i mchów, i wymagającym też sztuki chodzenia. Zagłębiamy się, las staje się coraz gęstszy, wyższy i bardziej dziki. Wreszcie w miejscu, gdzie dróżki rozwidlają się, stajemy.

Leszkowicz, dowiedziawszy się, że jestem po raz pierwszy na głuszcach, daje mi po swojemu, po białorusku, wskazówki. Zresztą, jak mi starsi mówili, każdego z nich uczył sztuki głuszcowej stary, białoruski leśnik. Leszkowicz bardzo prosto przedstawiał pieśń: „Czep, czep, czep, czep, czyryk, czyryk, czyryk, czyryk". Mówił, byle tylko w pieśń podejść i „plasnąć".

Choć jeszcze słońce stoi dość wysoko, kończymy przyciszoną rozmowę i idziemy dalej; ze dwieście kroków do miejsca, gdzie niewyraźna linia leśna przecina dróżkę.

— Tut jany hrajuć — mówi Leszkowicz.

Siadamy na kępach, miękko jak w najlepszym fotelu i czekamy. Wieczór jest ładny, acz może trochę zimny mimo połowy kwietnia. Ale pomimo to, w lesie jest ślicznie i nastrojowo. Cisza, poważna cisza zalega wokół, hen! gdzieś daleko słychać tylko dzwon wiejskiego kościoła.

Cóż, kiedy głuszców nie ma. Ze smętnymi minami wracamy do Hryniewszczyzny.

Minął tydzień, w którym zmieściły się Święta Wielkanocne, a przez który wiosna zrobiła duży krok naprzód. Łąka pod lasem już puściła zupełnie i tylko jednym, znanym Leszkowiczowi miejscem można przebrnąć. Kszyki warczą w powietrzu, żaby rechocą, czajki uprzykrzają się nad głową.

„Dzicz" znowu cicha i poważna.

Leszkowicz zostaje na rozwidleniu, ja idę dalej na miejsce sprzed tygodnia. Siadam na mchu pod grubszą sosną i czekam. Mija kwadrans, pół godziny, może godzina.

Coś na lewo załopotało daleko. Zamieniam się w słuch Potężny łopot a potem głos. Nie mam wątpliwości. Głuszec zapadł i kreknął. Po chwili zerwał się, przeleciał trochę i znowu zapadł i kreknął. Poprawił się potem jeszcze raz i zapadł na sosence nad dróżką. Wtedy go ujrzałem. Na małym drzewie, na tle zachodu słońca wyglądał jak olbrzym. Rozpuścił wachlarz i kręcił się na gałęzi, krekcąc od czasu do czasu. W dali przed sobą usłyszałem jakby łopot, z tyłu też. Więc może trzy. Dygocę z emocji. Ten jeden to pewny, bo widzę go. I zapadł według wszelkich wymogów teorii. I w dodatku podchodzić go trzeba dróżką Los sprzyja mi widać. Na myśl o jutrzejszym ranku serce zaczyna mocniej bić.

Ciemnieje coraz bardziej, aż wreszcie sylwetka głuszca rozpływa się w mroku. Czekam jeszcze i potem, jak mogę najciszej, wracam do Leszkowicza. On nie zasadził żadnego. Opowiadam mu z przejęciem, co widziałem i słyszałem i z myślą o jutrze wracamy przez wertepy do chaty. Wypijam gorącego mleka i zasypiam.

Budzi mnie Leszkowicz, wciągam mokre buty, idziemy. Noc jeszcze głucha, gwiazdy świecą. W „dziczy" ciemno zupełnie. Leszkowicz zostaje na wczorajszym miejscu, ja idę dalej Mniej więcej do sosny, pod którą siedziałem powinno być ze dwieście kroków. Tam się zatrzymam i będę czekał, aż „mój" zagra. Idę po cichutku Zatrzymuję się. Tu czy nie tu? Nie, to nie ta sosna Idę dalej. Znowu staję. Sosny nie widać, linii też. Z jednej strony lepiej nie pchać się za daleko, ale jeżeli sosna jeszcze przede mną, to mogę nie usłyszeć pieśni, tym bardziej że jej nigdy w życiu nie słyszałem. Ale przecie w nocy odległości wydają się większe; więc jeszcze trzeba podejść. Idę. O Boże! Nad głową okropny łopot. Olbrzymi cień mignął na tle nieba i zniknął w ciemnościach. Wystąpiły zimne poty, kolana ugięły się pode mną. Klnę na siebie w duchu za nierozwagę. Taka okazja i tak głupio popsuć sprawę. Trzeba lepiej zapamiętać swą sosnę

Przybity i zrezygnowany idę z powrotem. Rzeczywiście, oto moja sosna, 130 kroków w tyle. Ot złość! Tak zagapić się i wleźć pod samego głuszca. Bliski wprost płaczu — staję i czekam świtu. Mija godzina, zaczyna szarzeć, chłód poranny przejmuje do głębi. Zrywa się lekki wiaterek. Naraz łowię uchem jakiś dźwięk. Dźwięk nieznany. Czyżby głuszec? Wsłuchuję się i oto wszystko staje się zrozumiałe: klap, klap, klap, klap, klap, a potem ten dziwny dźwięk — szlifowanie. Stoję nieruchomo, słuchając pieśni, o której tyle czytałem i słyszałem. Rzeczywiście cicha i nieefektowna, ale skądinąd tajemnicza i niezwykła.

Oczywista podziwianie głuszcowej pieśni nie trwało długo, żyłka myśliwska pchnęła mnie w przód. Cóż, kiedy głuszec gra daleko i kiedy próbuję robić krok, pieśni nie słyszę. Widocznie za daleko. Zatrzymuję się, jeszcze dwie pieśni, potem cisza a po minucie chyba daleki łopot skrzydeł. Poleciał, ale nie z mojej winy.

Zapominam o poprzedniej klęsce i żyję tylko myślą, że oto ja sam bez niczyjej pomocy posłyszałem głuszca, zrozumiałem jego szemrzącą, cichą pieśń. Syty poniekąd wrażeń, gdyż wszyscy mi wpajali, że za pierwszym razem nikt głuszca jeszcze nie zabił, wracam do Leszkowicza; z nim do Hryniewszczyzny, potem do Chodorówki, a nazajutrz do Wilna. I wiozę swoje najcenniejsze tej wiosny trofeum. Trofeum zapisane w duszy a upolowane tam w „dziczy", trofeum bezkrwawe, może dla innych nic nie warte, ale dla mnie skarbem będące.

Poprzysiągłem stanąć przyszłej wiosny znowu pod „moją" sosną.

2. DWA GŁUSZCE

Nie mogłem w Wilnie wysiedzieć. Wiosna szła. Z wiatrem wiał ten tajemniczy jej zew, w promieniach słońca było coś takiego, co ciągnęło za miasto,co szeptało: „jedź". Egzaminy po najtrudniejszym trzecim roku prawa, do których trzeba było forsownie się przygotowywać, poszły w zapomnienie. I choć ciało było jeszcze wciąż w Wilnie, dusza skakała już po kępach „dziczy" za Hryniewszczyzną.

Wreszcie pojechałem. Towarzyszył mi mój kuzyn Adaś, o parę lat młodszy ode mnie. Wyjeżdżamy pełni różowych nadziei, a tu w połowie drogi zaczyna padać śnieg, a gdy wysiadamy z pociągu — jest zupełna zima, z mrozem nawet.

Niewesoły był ten pobyt w Chodorówce. Śnieg, chłód przeraźliwy, o jakichkolwiek tokach ani mowy. Z nudów łazimy po okolicy w poszukiwaniu kaczorów, ale naprożno. Czwartego dnia błysnęło słońce, śnieg zaczął tajać. Jedziemy do Hryniewszczyzny. Leszkowicz nie rokuje nic dobrego. Ale spróbujmy. Idziemy na podsłuchy. Stary Leszkowicz już siedzi w domu, za ciężko mu. Idzie jego syn Józef.

Stoję w „dziczy" na linii leśnej, pod wygiętą sosną, o jakieś 100 kroków od tej mojej zeszłorocznej sosny, gdzie tak głuszca przefujarzyłem. Pogoda znów psuje się, znikło słońce, zaczyna się śnieżyca. Resztki nadziei pryskają. Wtem słyszę daleki łopot i po chwili nad sosnami leci wielka sylwetka. Głuszec. Jest na jakieś 30 — 40 kroków. Podnoszę broń do oka. Zdaje się, że kogut, ale jest taka śnieżyca, że mam moment wątpliwości. A nuż głuszyca. Szybka decyzja, opuszczam broń i odprowadzam wzrokiem ptaka. Strzał byłby pewny, ale... Właśnie to „ale" zwyciężyło szybko i zdecydowanie gorącą krew oraz młodzieńczy zapał, szepcący: „strzel".

Nabieram do siebie zaufania.

Schodzimy się. Adaś miał głuszca na 100 kroków na sośnie, Józef tłumaczy, że to nie żadne zapady, tylko głuszce przed wieczorem kręcą się po lesie. Widział on zresztą i tego „mego" i upewnia, że to był kogut oraz dziwił się dlaczego nie strzelałem. Ale ja wiem, dlaczego nie strzelałem. Wracam i czuję (przepraszam, że się chwalę), iż wiozę cenne trofeum — zwycięstwo nad samym sobą.

Nie wygląda, by się pogoda poprawiła. Z ciężkim sercem jadę do Wilna. Zły nastrój pogłębia to, że drugi raz nie będę sobie mógł pozwolić na wyjazd. Ale...

Przeszły Święta Wielkiej Nocy, spędzone w Wilnie, stopniał śnieg, wiosna powróciła w pełni. Zrobiło się ciepło i ładnie — druga połowa kwietnia. Zaczęła się wewnętrzna walka. Z jednej strony był rozsądek: mało umiem, egzaminy na nosie, a przecież nie mogę zimować. Z drugiej strony była reszla mojego „ja". I o ile tam pod krzywą sosną w „dziczy" okazałem się dorosłym, o tyle teraz stało się inaczej. Rozsądek poniósł klęskę... W śliczny poranek kwietniowy wysiadłem na wiejskiej stacyjce.

Śpiewa niebo i ziemia, dźwięczą skowronki, wiosenny wiatr pieści ciepłym powiewem. Wdychając pełną piersią i upijając się powietrzem, idę twarzą ku słońcu przez łąki i pole, od błotka do błotka, od rozlewiska do rozlewiska. Do głuszców mam jeszcze czas, a tymczasem co robić, jak nie iść w świat, ciesząc się z życia i wiosny.

Szukałem kaczorów, ale bezskutecznie, zapuściłem się daleko, w drodze powrotnej złapał mnie deszcz. Ciepły, wiosenny, krótki i ulewny deszcz. Na taki deszcz to i gniewać się nie można, bo taki deszcz jest też radością.

Zmoknięty i buchający w ciepłych promieniach słońca parą, wracam do Chodorówki, suszę ubranie, jem obiad i jadę konno do Hryniewszczyzny. Po drodze deszczyk łapie mnie znowu, ale wieczór będzie śliczny; czuję to.

Zostawiam u Leszkowicza konia i idziemy z Józefem na podsłuchy. Wyciągając z trudem nogi z rozmarzniętego już błota, grzęznąc w nim po kolana, docieramy wreszcie do lasu. Koszula jest już dobrze mokrą, gdy staję w końcu pod wygiętą sosną.

Rzeczywiście wieczór jest cudowny, rozpogodziło się zupełnie, cicho jest i ciepło. W tym pierwotnym lesie jest coś takiego, że się mimowoli siedzi cicho jak w olbrzymiej świątyni. O! jakiż czuję się szczęśliwy z dala od świata, sam na sam z przyrodą.

Gdzieś w głębi lasu zrodził się jakiś dźwięk, jakby łopot skrzydeł. Przeistaczam się w słuch. Bubububu, jakby kareta zajechała, zapadł nieopodal głuszec. Kreknął. Chwila — jest i drugi. Pierwszy „poprawia się". Co to? Jest i trzeci. I czwarty... Cichy dotąd las pełny jest teraz krektań i łopotu skrzydeł. Serce skacze w piersi jak szalone. Cztery są na pewno. Ciemnieje już a jeden z głuszców wciąż jeszcze zmienia miejsce i w pewnym momencie zapada przede mną na sośnie, na jakieś 40 — 50 kroków. Widzę jego ciemną sylwetkę na tle sosnowych gałęzi. Chwila wahania. Znów rozsądek ponosi klęskę. Strzelam. Głuszec zsuwa się po gałęziach na ziemię. Krew uderza mi do głowy. Biegnę do niego. O rety! Głuszec zrywa się z ziemi i leci. Nim zdążyłem strzelić, niknie między drzewami. Chwilę jeszcze słyszę oddalający się łopot, a potem cisza. Stoję bezradny i zrezygnowany. Co ja najlepszego zrobiłem? Chcę bić samego siebie, gryźć palce. Diabli wzięli mego głuszca, pewno ranionego; diabli wzięli jutrzejszy ranek, bo po tym strzale i hałasie, który spowodowałem, pozostałe głuszce chyba popłoszyły się i grać jutro nie będą. Czarna rozpacz i bezsilna złość. Poco ja strzelałem! Hańba! Wstyd! Pretenduję do miana prawdziwego myśliwego i strzelam do głuszca bez pieśni wieczorem. Chcę się zapaść pod ziemię.

W grobowym nastroju wracam z Józefem do gajówki. On żadnego nie zasadził. Co robić? Wracać czy pójść próbować szczęścia rano? „Szczęścia" — myślę ironicznie. Ładne dziś było szczęście, nie ma co. Zostaję.

O północy wstajemy. Prawie nie spałem. Głuszec nie dawał mi spokoju. Mokry jestem zupełnie, gdy po przebrnięciu błota i drogi docieram do celu. Staję w tej stronie, gdzie zapadł najdalszy z wczorajszych czterech głuszców. Mam nadzieję, że może...

O ile wieczorem było ciepło, teraz jest dość chłodno — mały przymrozek. Przedtem spocony zaczynam teraz dzwonić zębami. Czekam długo. Zanosi się już na świt. Z kwakaniem przelatuje w górze para kaczek. Hen! daleko odzywają się żurawie. I słonka jedna zachrapała. Wszystko jak w opisach, jak w książce. Tylko głuszca nie słychać. No, bo pewno, skądże? Mija jeszcze z kwadrans. W dali jakiś szmer. Natężam słuch. Gra. Słyszę co prawda bardzo niewyraźnie, ale słyszę na pewno. Co robić? Dochodzą mnie tylko urywki pieśni. Waham się chwilę i kombinując kiedy mniej więcej może być szlifowanie, ruszam naprzód. Po kilkunastu ostrożniejszych krokach dolatuje mych uszu cała pieśń. Mimo to robię tylko po dwa kroki. Wszak tyle naczytałem się i nasłyszałem o czujności głuszca. A teren okropnie trudny: kępy, w dole woda, zwały suchych gałęzi, ścięty przymrozkiem mech trzeszczy pod nogami. Pot występuje mi na czoło. A głuszec gra. Gdy kończy trelowanie i ma

przejść już do szlifowania, coś mnie pochyla naprzód i pcha. Czuję się jak zahypnotyzowany i rozumiem teraz sens powiedzenia „być pod czarem pieśni".

I jak w większości wypadków — nastąpiła katastrofa. Skoczyłem tak niefortunnie, że nogi wplątały się między kępy. Nie mogę ustać, chwieję się na wszystkie strony. A głuszec urwał. Ojej! ojej! żeby choć jedną nogę poprawić. Lada chwila nie wytrzymam i albo poruszę z hałasem nogę albo upadnę. Wtedy na pewno wszystko stracone, choć i tak głuszec milczy. Zaciskam zęby, aby jeszcze trochę wytrzymać.

„Klap, klap, klap" — zwolna zaczyna głuszec. Dodaje mi to sił. Klapanie staje się coraz szybsze, nabiera przyśpieszenia i wreszcie ratunek — szlifowanie. Wyciągam nogi. Następna pieśń i naprzód. Jeszcze daleko. Po kilkunastu pieśniach głuszec znowu urywa, lecz tym razem nie z mojej chyba winy. Jest już prawie widno, wschód rumieni się. Stoję jak wryty i czekam. Serce mi zamarło. Głuszec zerwał się. I... o radości! Siada przede mną na czubku sosny i zaczyna klapać. Czekam na pełną pieśń. Ale on tylko klapie, zwrócony ku wschodowi. Gdzieś na lewo odezwała się głuszyca. Drżę ze strachu, żeby nie poleciał. Głuszec jednak tylko wachlarz rozpuścił i klapie. Żeby choć jeszcze parę pieśni. Ot, podskoczyłbym do tej sosenki i ... można strzelać. Niestety, głuszec nie szlifuje. Jest coraz widniej, prawie że słońce wschodzi. Nic już z pieśni nie będzie. Za długo do głuszca podchodziłem, widocznie „wyśpiewał się" już. Ale może by z tego miejsca strzelić? Psiakość! daleko — 70 kroków na pewno. Żeby nie było tak jak wczoraj, bo to gorsze niż pudło. Zaczynam walczyć z pokusą. „Twoja dwudziestka dobrze przecie bije" — szepce mi. „Szanujący się myśliwy nie strzela do głuszca dalej jak na 40 kroków" — mówi rozsądek. Wreszcie jednak pokusa przemogła. Bardzo spokojnie, będąc zupełnie opanowany, wycelowałem jak można najlepiej i strzeliłem z lewej lufy. Głuszec zachwiał się na czubku sosny i zaczął zsuwać się w dół. Ile sił w nogach rzuciłem się naprzód. Zdążyłem w samą porę, bo głuszec próbował jeszcze na piechotę zaszyć się w krzaki.

Teraz dopiero zaczynam pojmować ogrom szczęścia, jakiego dostąpiłem. Marzenie tylu dni spełniło się. Zapominam o wczorajszej klęsce, żyję tylko myślą radosnej teraźniejszości. Wiosna tegoroczna nie stracona. Radość i duma rozsadza mi piersi.

Szczęśliwy i spocony, taszcząc swoje królewskie trofeum, wyłażę na dróżkę. Przychodzi Józef. Cieszymy się obaj. Józef chce nieść głuszca. Mowy nie ma. Ja poniosę moją zdobycz. Wracamy do Hryniewszczyzny, a słońce zza lasu śmieje się do nas. Z drugiej strony wsi gotuje się jak w garnku od bełkotu cietrzewi. Świat wydaje się wyjątkowo piękny.

Strzelba przez plecy, koszyk z głuszcem w ręku, konno wracam do Chodorówki. W butach pełno wody, która prawie zamarza. A kłusa jechać nie mogę, bo strzelba i głuszec trącają wtedy konia i ten zaczyna wariować. Skostniały i triumfujący — jestem wreszcie na miejscu. O! jakże smakowała kawa a potem błogi sen z poczuciem ogromu szczęścia, jakie mnie spotkało.

Po południu jadę znów na zapady. I znów ten cudny wieczór w sercu dzikiego lasu i znów serce bije jakoś inaczej na łonie przyrody. Siedzę pod wygiętą sosną. Zapadają dwa głuszce. Gdy już ciemno — wycofuję się chyłkiem i jak najciszej. Jednego głuszca umiejscowiłem dokładnie. Na niego jutro pójdę.

I znów wieczorny powrót z pławieniem się niemal w błocie pod lasem, i znów pobudka o północy i marsz w gwiaździstą noc przez bagna i krzaki, kępy i trzciny do serca „dziczy".

Józef, który wziął też jakąś strzelbę, i który właściwie tej wiosny dopiero zaczął się głuszcowym rzemiosłem zajmować i nawet wielu rzeczy dowiadywać się od „starego praktyka", czyli ode mnie, idzie w kierunku drugiego, zasadzonego przeze mnie głuszca.

Czekam. Przymrozek jeszcze większy niż wczoraj. Dygocę z zimna. Mija godzina. Żurawie znów grają hejnał, słonka znów chrapie, szybując gdzieś niewidoczna. W końcu mój głuszec ozwał się. Dziś jestem dużo śmielszy niż wczoraj. Boję się spóźnić. Skaczę po trzy kroki, zwłaszcza że część drogi wypada mi po linii. Głuszec gra wspaniale, ani zatnie się. W trakcie skakania słyszę łomot z lewej strony. Stoję jedną pieśń. To Józef też do tego głuszca skacze. Nie mam czasu do stracenia. Ruszam szybko naprzód. Zwarty las kończy się, zaczyna się polana, szeroka kilkadziesiąt kroków, z pojedyńczymi sosenkami a potem znów las. Stamtąd płynie pieśń. Skaczę dalej, jestem znów urzeczony. Przebywam polanę i wkraczam w las. Józef na szczęście ujrzał mnie — widać — na polanie, bo nie słyszę go. A pieśni leją się jedna za drugą tuż, tuż nade mną. Wypatruję po sosnach. Nie widzę. Mija kilka pieśni. Opuszczam zadartą głowę i spostrzegam go wreszcie. Siedzi na gałęzi w połowie sosny, dużo niżej niż przypuszczałem. W nikłym oświetleniu wydaje się wcale niewielki. Mierzę i strzelam. Spadł prawie do stóp.

I znów prawie takie same szalone uczucie radości i triumfu, szczęścia i dumy. I znów ten powrót w kipiący życiem poranek.

Kołysze mnie pociąg, idący do Wilna. Na wagonowej półce leżą dwa głuszce. Spoglądam na nie z czcią, niemal z nabożeństwem. I chciałbym chwalić się pasażerom:

— Patrzcie! oto ja, nowicjusz, jeśli chodzi o ten rodzaj polowania, poszedłem na głuszce i choć nikt mnie za rękę nie prowadził, sam i tylko sam odniosłem taki sukces.

Jerzy Oświecimski



z literatury ŁOWIECKIEJ

I.

„BEKASY“ — Jerzy Kożuchowski, nakładem Spółdzielni „Jedność Łowiecka“, stron 77 z 2 mapkami, Warszawa 1948.

Do niedługiego spisu polskich monografii łowieckich, obejmujących niespełna 30 pozycji, przybywa obecnie nowa, poświęcona pospolitemu u nas i powszechnie znanemu, ale jakże mało dotąd zbadanemu ptakowi — bekasowi. Pracę swą oparł autor przede wszystkim na własnych obserwacjach, systematycznie prowadzonych — co nadaje jej wartość specjalną — oraz wyzyskał dostępną mu literaturę przedmiotu, podając 17 tytułów naukowych prac badaczów polskich, rosyjskich i niemieckich. Poza ogólną charakterystyką podrodziny bekasów (Scolopacinae) podaje autor w czterech rozdziałach szczegółowy opis wyglądu, trybu życia, miejsc gniazdowania oraz zimowania czterech gatunków znanych nam bekasów, a więc: największego — słonki (Scolopax rusticola), dubelta — (Capella media), kszyka czyli bekasa właściwego (Capella gallinago) i najmniejszego z tej podrodziny, bekasika czyli ficlauza (Lymnocryptes minima).

Załączone do pracy mapki kolorowe uwidaczniają obszary gniazdowania tych ptaków; mówią one np., że bekasik jest ptakiem raczej północy i u nas gniazduje tylko przypadkowo na rubieżach północnych (na Pojezierzu Mazurskim i w Augustowskim), odwiedzając jednak Polskę w okresie wiosennych i jesiennych przelotów. Dubelta również uważać należy u nas za zwierzynę rzadką, bo lęgnie się w niewielu miejscach województwa lubelskiego, na Podlasiu, w Augustowskim i na Mazurach. Jednak w sierpniu spotkać można dubelty w miejscach żerowania dość często i nieraz w ilościach znaczniejszych, kiedy ptaki te wypasają się przed odlotem na zimowiska.

Największy obszar zasięgu i gniazdowania posiadają dwa pozostałe gatunki bekasów — kszyk i słonka, pospolite w całej Europie środkowej i wschodniej. Polowanie na nie, to jedna z najmilszych emocyj myśliwego: kszyk z powodu trudności strzału doń, z uwagi na szybki i nierówny lot, — słonka z powodu uroku otoczenia w okresie ciągów wiosennych lub miłej niespodzianki i urozmaicenia w porze jesiennej.

Ciekawe opisy toków długodziobych rycerzyków, charakterystyka miejsc lęgowych i szlaku przelotów, usprawiedliwiają życzenie autora przedmowy do tej monografii, M. Mniszek Tchorznickiego, aby „Bekasy“ kol. J. Kożuchowskiego znalazły się w podręcznej bibliotece każdego myśliwego.

II

„MATERIAŁY DO ROZMIESZCZENIA GŁUSZCA, CIETRZEWIA I JARZĄBKA“ — Jan Marchlewski, wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności, — Kraków, 1948, stron 53 i 3 mapki.

W 1947 r. Sekcja Polska Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptaków rozesłała ankietę, dotyczącą rozmieszczenia głuszca, cietrzewia i jarząbka na terenie Polski. W rozsyłaniu ankiety wziął czynny udział Polski Związek Łowiecki, dołączając blankiety do jednego z zeszytów Łowca Polskiego. Ankieta dała wynik mierny: na 14 tysięcy wysłanych egzemplarzy ankiety zwrócono wypełnionych tylko 847; niemal wyłącznie nadesłały je nadleśnictwa państwowe, zaś nieznaczny tylko odsetek pochodzi od członków PZŁ. Źle to świadczy o społecznym uświadomieniu naszych kolegów.

Opracowanie zebranych przez ankietę wyników, dokonane przez kol. Jana Marchlewskiego, stwierdza, że zebrane dane nie mogą dać jasnego pojęcia o obecnym stanie rozmieszczenia badanych ptaków. Wpływa na to zarówno mała ilość odpowiedzi, jak i niedostateczna znajomość terenu przez personel leśny, który w czasie powojennym uległ dużej zmianie.

Wyniki tego opracowania ujęte zostały w trzy mapki rozmieszczenia. Podajemy odbitki tych mapek, dotyczących głuszca i cietrzewia, bo mapka rozmieszczenia jarząbka — wyjątkowo u nas rzadkiego ptaka — wygląda zupełnie nieprawdopodobnie, co stwierdza zresztą i autor opracowania, zaznaczając, iż „odnosi się wrażenie, że w wielu wypadkach odpowiadający nie zna jarząbka i myli go z innymi ptakami“. W jednej odpowiedzi z województwa śląskiego autor podaje, że teren, na którym występuje jarząbek „składa się z gęsto zabudowanych osiedli fabrycznych!!“.



Na dane o głuszcu złożyło się 108 kwestionariuszy. Z otrzymanych odpowiedzi wypada, iż głuszce występują obecnie w większych skupiskach w północnej części województwa białostockiego, w województwie krakowskim, pomorskim, śląsko - dąbrowskim i szczecińskim. Mniej liczne i szczątkowe stanowiska leżą



na granicy województw lubelskiego i rzeszowskiego oraz w województwach gdańskim i wrocławskim.

O występowaniu cietrzewia otrzymano 340 wiadomości. Na ich podstawie sądzić należy, iż najlepszy stan cietrzewi posiadają województwa: łódzkie, kieleckie, lubelskie, śląsko - dąbrowskie, białostockie i krakowskie.

J. Gieysztor.

Kalendarzyk myśliwski

Stosownie do rozporządzenia Prezydenta R. P. z dnia 3 grudnia 1927 r., uzupełnionego rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dnia 12 maja 1948 (Dz. U. R. P. Nr 28), dozwolone jest polowanie na następujące zwierzęta łowne (znak +):

	w kwietniu	w maju
wilki	+	+
króliki	+	+
kuny domowe, kamionki	+	+
tchórze, łasice, gronostaje	+	+
wydry	+	+
cietrzewie, koguty w wojew.: krakowskim, łódzkim, wrocławskim, rzeszowskim i białostockim	+	do 15-go
głuszce koguty	+	do 15-go
słonki	+	do 15-go
bataliony	+	+
dzikie kaczory	+	+

O myśliwskie współzawodnictwo

Powiatowa Rada Łowiecka w Kętrzynie, pragnąc zachęcić brać myśliwską do szlachetnego współzawodnictwa na polu ochrony zwierzyny i działalności organizacyjnej, a zarazem otrzymać materiał do osądu myśliwych, wymaganego przy wydawaniu kart łowieckich, postanowiła wywiesić w lokalu klubowym Powiatowej Rady Łowieckiej tablicę z nazwiskami wszystkich członków PZŁ na terenie powiatu z prośbą o danie odpowiedzi na następujące pytania:

1. Zajmowane stanowisko i wykonywane prace w kole łowieckim.
2. Ilość i rodzaj ubitych szkodników.
3. Sposób patrolowania terenu poza polowaniem.
4. Ilość ujawnionych przestępstw łowieckich (kłusownictwo, wnykarstwo, sidlarstwo itp.).
5. Inne czynności, wykonywane dla dobra łowiectwa i ochrony zwierzyny.

SPROSTOWANIE

W zeszycie 3 (marzec) w artykule pt. „O właściwe ukształtowanie obwodów łowieckich" na str. 14 wiersz 2 od góry wyrazy „Ziem Od yskanych" należy zastąpić przez „ziem Polski Środkowej".

Z ostatniej chwili

Zawiadomienie

Na skutek usilnych starań Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego Rada Państwa ustaliła normy dla podatku komunalnego od prawa polowania Zarządzenie w tej sprawie otrzymane dnia 15 marca br. podajemy jako specjalnie palące dla terenu:

KANCELARIA RADY PAŃSTWA
L. dz. FS — 1 — 308/49

Warszawa, dnia 7 lutego 1949 r.

Do
Prezydiów
WOJEWÓDZKICH I POWIATOWYCH
RAD NADZORCZYCH

OKÓLNIK NR 14
w sprawie podatku od polowania

Na podstawie art. 35 dekretu o podatkach komunalnych, upoważniającego związki samorządowe do pobierania tzw. innych podatków komunalnych, wprowadziły niektóre powiatowe związki samorządowe pobór podatku od prawa polowania, ustalając stawkę tego podatku w wysokości często wygórowanej, bo przekraczającej i to nieraz wielokrotnie wysokość czynszów dzierżawnych z obwodów łowieckich.

Ze względu na to, że podatek od polowania nie powinien mieć prohibicyjnego charakteru, Kancelaria Rady Państwa w porozumieniu z Ministerstwem Administracji Publicznej i Skarbu zaleca radom narodowym następujące normy maksymalne tego podatku:

1) przy czynszu dzierżawnym, wynoszącym 4 zł. lub więcej z 1 ha rocznie, stawka podatku nie powinna przekraczać 30 proc. czynszu dzierżawnego;

2) przy mniejszych czynszach dzierżawnych stawka podatku nie powinna przekraczać 50 proc. czynszu dzierżawnego.

Szef Kancelarii Rady Państwa
(—) **Kazimierz Mijal**

Za zgodność Kier. Kan. Biura Finans. Samorządów
(—) **H. Andrzejewska**

Redaktor — prof. J. Gieysztor Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29
Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Nr zam. 456 Z. G. P. W. Nr 1 B-71977

32

MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

DLA FOTOGRAFÓW ZAWODOWYCH

Przypominamy, iż z dniem 1 maja br. upływa termin nadsyłania fotografij na konkurs. Warunki konkursu były podane w zeszytach 1, 2 i 3 Łowca Polskiego.

Jako nagrodę pierwszą dla serii, zawierającej najmniej 5 zdjęć, ustalono kwotę 20.000 zł, jako nagrodę drugą — 12.000 zł, jako nagrodę trzecią — 8.000 zł.

Wypłata nagrody uprawnia Redakcję Łowca Polskiego do wykorzystania na łamach pisma 5 zdjęć. Za reprodukcję dalszych zdjęć opłata stanowić będzie 1000 zł od sztuki.

REDAKCJA

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 20.000 zł., za ¾ strony — 15.000 zł., za ½ strony — 12.000 zł., za ¼ strony—8.000 zł., za ⅛ strony — 5.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem — po 20 zł. za wyraz, grubszym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Administracji pisma.

ŁOWIEC POLSKI



ROK 51-szy